Sternik

dwutygodnik dla młodych

Warszawa

Cena 50 groszy.

Rok I 1-go grudnia 1929 r. Nr. 2

Także rekordy.

Od czasu do czasu wpada mi w oczy zanotowana drobnym drukiem w jakiemś tam piśmie, czy w dzienniku, wiadomość. Na końcowej stronicy umieszczona tak, że trzeba ją umieć znaleźć, lakoniczna, podana z czysto formalnego dziennikarskiego obowiązku. Jak tysiąc innych spraw, z wyjątkiem wszystkiego, co dotyczy sportu, lub jakichś ponurych, przerażających sensacyj „kolosalnej" karjery kinowej gwiazdy, dancingowego tancerza, boksera, bóstwa obu półkul. Wiadomość taka głosi o tem np., że jakiś doktór zaraził się śmiertelnie, badając zarazki żółtej febry, że umarła młoda lekarka, zaszczepiwszy sobie dla naukowego eksperymentu zarazek tyfusu — ach i t. d. Czasem czytamy z racji rocznicy, czy jubileuszu opis poświęcony między innemi Marji Skłodowskiej-Curie i jej mężowi, o których pracy wiemy tyle tylko, że zawdzięczamy im wynalazek radu, będący jedynym środkiem w zwalczaniu straszliwej choroby raka. Nie wiemy natomiast, w jakich to warunkach pracowała Marja Skłodowska, zanim zdobyła wszechświatową sławę. Oto, co ona sama mówi o tem: „W starej szopie, w podwórzu Szkoły Fizycznej w Paryżu, nieopalonej, bez wentylacji, bez żadnych urządzeń, prócz paru stołów i czarnej tablicy, w szopie tej wydobywaliśmy „duszę" radu. Latem piekło w niej niemiłosiernie słońce, zimą słabo ogrzewał piecyk żelazny. W szopie tej bez podłogi, o oszklonym dachu, niedostatecznie chroniącym nas przed deszczem, spędzaliśmy najszczęśliwsze lata naszego istnienia, poświęcając się całkowicie pracy. Przypominam sobie dokładnie zachwyt, jakiego doznawaliśmy, wchodząc naraz wieczorem do naszej pracowni na widok naprzód słabo, potem w miarę koncentracji coraz silniej lśniących światełek, które ze wszech stron ku nam spoglądały".

I któż wie, że owa największa uczona, zanim okryła swoje i Polski imię sławą nieśmiertelną, żyła w bardzo ciężkich warunkach materjalnych, któż wie o tem, że z wynalezionego przez siebie radu nie czerpała żadnych korzyści materjalnych, uważając go za własność Instytutu radowego, w Paryżu, kto wie wreszcie, że w czasie wojny uratowała życie dziesiątkom tysięcy, przyrządzając własnoręcznie rurki z emanacją radową. Brak miejsca nie pozwala mi na szczegółowsze omówienie tego rodzaju „rekordu", jakiem było właśnie całe dotychczasowe życie Marji Curie. W chwili obecnej przeznaczyła 50 tysięcy dolarów, ofiarowane jej przez Amerykanki podczas jej jubileuszu na zakup jednego gramu radu, dla mającego powstać w Warszawie Instytutu radowego. I znowu tylko nieliczni, tylko garstka wie o tym przepięknym, wspaniałomyślnym geście. O tego rodzaju szlachetnych „sensacjach" nie pisze się w naszej prasie!

A oto rekord z innej dziedziny — wielkiego miłosierdzia, któremu całe swe życie, wszystkie myśli, siły, wszystkie troski poświęcił ot taki jeden, nieznany człowiek, wielki bohater dnia codziennego, doktór Szymon Starkiewicz. Czyż dzieło, którego dokonał znane jest ogółowi? Czy ogół ten zdaje sobie sprawę, co temu człowiekowi zawdzięcza? W krótkości i o tym „rekordzie" opowiem. Dnia 31 grudnia 1918 r. jakiś nieznany wówczas nikomu lekarz ogłosił drukiem, że wraz z żoną i synami przystąpił do kopania gliny na zimę do wyrobu cegły przeznaczonej na budowę wielkiego, na dwieście dzieci przeznaczonego, sanatorjum. Czyż miał jakieś kapitały, poparcie? Broń Boże! 31 grudzień 1918 roku! Co żyło w Polsce, myślało o wojnie i o polityce. Kapitałem D-ra Starkiewicza była nieugięta wola ducha, poparciem — wiara, że realnym fundamentem pracy społecznej nie są wartości materjalne, ale prawdy moralne.

I cóż to miało być to sanatorjum? Słońce i powietrze dla dzieci gruźliczych, wydarcie śmierci nieszczęsnych dzieci Zagłębia. Tu na ową „Górkę" pod Buskiem miano zwozić na leczenie dzieci suteren, wilgotnych piwnic, zatęchłych zakamarków. Dla tego celu o bożym świecie zapomniał, zaprzysiągł sobie, że sanatorjum stanie i rzucił się

z motyką na słońce. Za sumę równą 10 tysiącom dawnych rubli, zebranych na skutek niezliczonych ilości odezw, druków, listów kupił 14 morgów gruntu. A potem zaczął kwestować. Czego to nie dawano na tę kwestę! Ale były dni, gdy nic nie dawano. Nie było czem płacić robocizny. I wtedy doktór wraz z rodziną często obiadu nie je, zapożycza się, ale gdy brakuje na pensję mimo nadludzkich jego wysiłków, nikt nie sarka, nikt nie narzeka, bo przedziwną moc, zapał i wiara promieniują ze słów i czynu doktora.

Trzęsie się po wszystkich drogach polskich, jest na wszystkich zjazdach, bo tam więcej ludzi, bo tam mówić trzeba o nędzy polskiego dziecka, wygłasza setki odczytów o swojem sanatorjum i wreszcie przedostaje się głos jego, bo i kamienie żar ten serdeczny zbudzićby zdołał. Rząd daje subwencję — płyną ofiary. Doktór zakłada własną cegielnię. aby materjał budowlany wypadł taniej, ma już 20 robotników. Kłopoty rosną, w miarę jak rośnie budowa, piętrzą się trudności, wybucha wojna z bolszewikami, któż ma czas myśleć o jakiemś tam sanatorjum! A jednak uzyskał subwencję, Ale nie chcą mu jej wypłacić. Po tysiącznych staraniach na swojem postawił. Wzruszające szczegóły czytamy o tych podróżach do Warszawy, o wędrówce po ministerjach, w przecudnej broszurce Kisielewskiego: „Czyn nie łza".

Och, daleko było jeszcze do końca! A tymczasem dzieci zołzowate, okryte ranami gruźliczemi, trawione gorączką wołały po nocach o powietrze, słońce, kąpiele. Cóż robi doktór? Czeka na wykończenie sanatorjum? Gdzie tam. Wynajmuje najskromniejszą willę w Busku, sprowadza tam 60-ro dzieci. Rezultaty tego leczenia były tak znakomite, że dzięki owej pierwszej kolonji, sława Górki rozniosła się po całym kraju. I oto w roku 1927 leczyło się w Górce na kolonjach letnich 1027 dzieci.

Dziś sanatorjum w Górce — to przewspaniały pałac, majątek rozrósł się do 65-morgowej przestrzeni — urządzenia takie, jakie mamy w największych sanatorjach zagranicą.

Przyjeżdżają dzieci owrzodzone, ślepe od ran—opuszczają sanatorjum zdrowe. A jak im tam dobrze, niechaj świadczą liczne ucieczki z domu tych dzieci, które były choć raz w sanatorjum.

Tam, gdzie 10 lat temu wznosiło się smutne, puste, jałowe wzgórze, dziś rozłożyło się całe miasto niemal. Wieczorem łuna, bijąca od lamp łukowych na Górce zwraca uwagę podróżnego już na kilkanaście kilometrów. Oto czyn, oto rekord, oto bieg poprzez straszliwe trudności i przeszkody, jakiemi są oschłość, bezduszność i samolubstwo ludzi. Wzruszyć takich trudniej, niż wzruszyć kamienie. A oto pokonał ich człowiek o gorącem sercu, człowiek o wierze tak mocnej, że przebiła wszystkie opory, co mu na drodze do celu stały.

I oto, gdy czytam gazety, tak bardzo się dziwię, że szpalty całe poświęca się nowożytnym „bohaterom" w rodzaju wszelkich Dempsey'ów, Tunney'ów, tak bardzo się dziwię, że krzewi się kult przeważnie dla walorów fizycznych dla siły mięśni, czy pięści, o wartościach głębszych, nieprzemijających, zapominając prawie zupełnie.

Daleka jestem od zapoznawania znaczenia sportu, jego wartości wychowawczych, ale zaczynam się niepokoić owym „kultem" tylko dla rekordów ciała, a zupełną prawie obojętnością na rekordy ducha.

Wracając jeszcze do sensacji w innej dziedzinie, dziedzinie najbardziej ponurych stron życia, zbrodni, podłości, szantażu etc. niepodobna bez najżywszego zaniepokojenia patrzeć na te objawy zdziczenia. Inaczej niepodobna, wszak nazwać tego rozpasania w opisywaniu zbrodni, jak najbardziej drobiazgowego podawania szczegółów, wogóle całej ohydy pewnych faktów. A przecież tyle rzeczy pięknych, mądrych, ciekawych dzieje się na świecie. Mimo wszelkie nasze rodzime polskie pesymizmy, rusza się z posad „bryła świata". Mimo wszystkie pesymizmy codziennie, co godzina spełnia się rzecz godna uwagi, zastanowienia, naśladowania i podziwu. I tak jest napewno! Przecież rozpadłby się świat dawno, rozsadziłaby go pycha, podłość i obłuda, gdyby nie ów różaniec zarówno skromnych, jak wielkich czynów, którym ziemia jest opasana. Przesuwa ziarnka różańca ręka niewidzialna, ręka Boga perły coraz nowe na ów łańcuch niżąc i spaja ludzkość najmocniejszym cementem dobrej woli, głębokiej wiary i wielkiej miłości, co jak kwiaty przecudne z serc takich ludzi, jak Dr. Starkiewicz, Marja Curie i im podobnych wyrastają.

Janina Strzelecka.

O ZADANIACH WSPÓŁCZESNEGO ŻYCIA POLSKIEGO.

Nie masz wykształcenia bez charakteru.
(St. Szczepanowski).

II. ABY NIE ZWOLNIĆ TEMPA.

Nie wiem, jak scharakteryzuje kiedyś naszą epokę historyk, ale wiem, że będzie musiał dawać zupełnie różną charakterystykę dla odcinków czasu, bardzo małych i od siebie blizkich. Wojna i odzyskanie własnego państwa przyniosły tyle zasadniczych zmian w psychice naszego społeczeństwa, że nietylko młode pokolenie jest odmienne od starszego, ale w psychice każdej jednostki zachodzą daleko idące zmiany. To czem żyło młodzieńcze pokolenie w okresie lat 1905—1914, to dla dzisiejszej młodzieży jest rzeczą daleką, a czasem nawet obcą.

Nawrót do poezji romantycznej, powstawanie nowej poezji i literatury, która była protestem przeciwko wszystkiemu, co głosił pozytywizm — oto tło owej epoki. Ideałom pracy organicznej, pracy od podstaw z zaniechaniem wszelkich szaleńczych mrzonek o walce zbrojnej, tym ideałom pozytywizmu — przeciwstawia się nowe pokolenie, które w początku dwudziestego wieku wchodzi na arenę życia społecznego. Wypisując na swych sztandarach idee Mickiewicza i Słowackiego, przywołuje na pomoc dawny romantyzm, aby ludziom rozsądnym przeciwstawić ludzi szalonych *). Współcześni twórcy, jak Wyspiański, Żeromski budzą uczucia patryjotyczne, zagrzewają do czynu.

I nie z organicznej pracy w handlu lub przemyśle, nie z kultu spokoju i zachowania dawnych form, ale z gorących uczuć, z szaleńczych idej zrodził się wielki ofiarny czyn. Duch polski wzniósł się na wyżyny bohaterstwa, a z krwi przelanej zaczęło wykwitać nowe życie.

Stanęły przed nami nowe zadania, wymagające nowego przetworzenia psychiki. Trzeba się wziąć do codziennej szarej pracy, trzeba szerzyć jej kult tak, jak przedtem kult bohaterstwa. Czyżbyśmy mieli powrócić do haseł pozytywizmu? Czyż mamy dzisiaj iść pod sztandarem tych haseł, które ongiś, my wychowani w ideologji walki, tak bardzo znienawidziliśmy? I gdy zadałam sobie to pytanie, zrobiło mi się żal was, którzy nie przeżyliście w swych du-

*) A. Mickiewicz. O ludziach rozsądnych i szalonych.

szach okresu romantyzmu, a pierwszemi waszemi ideałami, stały się hasła codziennej pracy.

Jakżeż powierzchowny był ten chwilowy sąd, jak niesłusznem moje dla was współczucie!

Gdy, zwiedzając Powszechną Wystawę, rozmyślałam nad tym rytmem współczesności, wpadł mi w oczy wielki napis na którymś z pawilonów:

„Dobrobyt państwa jest dobrobytem obywateli".

Słowa te wydały mi się dziwnie znane... Poszukawszy w pamięci, przypomniałam sobie, że jeden z historyków, charakteryzując hasło pozytywizmu, ujął w podobne wyrazy, o jakżeż jednak różnej treści: „Dobrobyt obywateli jest dobrobytem społeczeństwa".

Tak, przed czterdziestu laty byliśmy tylko społeczeństwem, dziś jesteśmy państwem i ten jeden fakt wystarczył, abyśmy zupełnie odwrócili dawne hasło. Pozytywizm uważał, że jedyną możliwością polityczną dla ludzi bez państwa było pomnażanie bogactw osobistych, przez co miał wzrosnąć dobrobyt społeczeństwa — my dziś rozumiemy, że praca dla państwa jest hasłem naczelnem, a dobro obywateli tylko z dobrobytu państwa wyniknąć może.

I dlatego czasy nasze, choć wyścig pracy postawiły na swym sztandarze, tak są niepodobne do czasów pozytywizmu. I dlatego praca nasza może być radosna, że jest twórczą i ofiarną, że każdą małą cegiełką budujemy umiłowane państwo.

A tempo tej pracy wzięliśmy szybkie.

Utkwiły mi w pamięci słowa Pana Prezydenta Mościckiego, kiedy przyjmując delegację harcerską, mówił, że śledzi pilnie postęp wszystkich innych krajów i widzi, że w szybkości postępu Polska zajmuje pierwsze miejsce, dopiero zaraz za nią idą Niemcy. To też możemy radośnie patrzeć na naszą teraźniejszość, ale musimy pamiętać o jednem:

Nie zwalniać tempa!

Nie możemy dać się wyprzedzić nikomu — musimy utrzymać Polskę na najwyższym poziomie, na jaki tylko dźwignąć ją możemy.

Nie brak nam w historji przykładów wielkich i śmiałych pracowników. Gdy nie mieliśmy własnego państwa, polski genjusz pracy znajdował swe ujście na innych ziemiach. Śmiałe przedsięwzięcie przeprowadzenia kolei przez Andy było dziełem Folkierskiego, a projekty elektryfikacji Narutowicza, zdobyły uznanie całego świata. Curie-Skłodowska, Ignacy Mościcki, dokonywują wielkich wynalazków nie dzięki szczęściu, ale dzięki nieprawdopodobnie ciężkiej i wytrwałej pracy. I w kraju mieliśmy też wybitnych uczonych, jak choćby Marjan Smoluchowski, czy wielkich przemysłowców jak Szczepanowski i Łukasiewicz. To wszystko ludzie, którzy ukochali pracę, i którzy swym umysłem i charakterem wybili się ponad ogół.

Zdolności umysłowych nie zabraknie w naszem społeczeństwie napewno, ale same zdolności nie potrafią wznieść człowieka na wyżyny. Zjazd psychologów, który się odbył w ubiegłym roku w Utrechcie analizował szczegółowo zagadnienie zdolności i charakteru. I oto uczeni ci doszli w swych badaniach do wniosku, że najbardziej dźwigają poziom kultury nie ludzie o wybitnych zdolnościach, a ludzie o wydajnej systematycznej pracy, choćby nawet byli mniej uzdolnieni. Obrady tego Kongresu wywołały wielki przewrót w psychotechnice, która badając przydatność człowieka w danym zawodzie brała dawniej pod uwagę tylko umysł, gdy tymczasem dziś wiemy, że ogromną rolę odgrywa też i charakter. Charakter, nie umysł, przesądza o wynikach pracy jednostki, charakter przesądza o jej społecznej przydatności.

I jeżeli zastanawiamy się nad tem, jakich ludzi w Polsce dziś potrzeba, to możemy na to odpowiedzieć krótko: ludzi charakteru i ludzi pracy. Nie potrzeba nam zdolnych umysłów ludzi bez woli, bez umiejętności wcielenia jakiejkolwiek idei w czyn — potrzeba nam ludzi, którzy będą umieli zdobyć się na ogromny wysiłek i wysiłek ten włożą w pracę dla państwa.

Wielka Persja musiała ulec Grecji, Japonja zwyciężyła niezmierzoną Rosję — w walce i w życiu pokojowem zwycięża nie to państwo, które ma wielu ludzi i wielkie obszary, ale to które ma wielkie charaktery.

I skoro dzisiaj w naszem życiu państwowem stanęliśmy do wyścigu pracy, skoro w tym biegu nie wolno nam zmniejszyć tempa, to musimy do tych zapasów życiowych stanąć uzbrojeni w wielkie charaktery.

W. P.

O PIONIERSKI TYP POLAKA.

Wśród ludów świata rozróżniamy narody śmiałe, zdobywcze, z upodobaniem borykające się z przeciwnościami losu, oraz zahukane, bierne, pozwalające, aby wypadki niemi rządziły. Pierwsze z nich — to ludy pionierskie, conquistadorskie, drugie — to mierzwa, to teren eksploatacyjny dla ich szczęśliwszych, a może tylko bardziej zaradnych sąsiadów.

Naród, który chce coś wielkiego zdziałać na arenie dziejowej musi być narodem pionierskim, musi śmiało, odważnie, a czasem i bezwzględnie łamać przeszkody, stawiane na drodze jego pochodu ku przyszłości. Oczy jego muszą być twarde i niekłamliwe a pięść zawsze zwarta i gotowa do zadania stanowczego ciosu. Nie wolno mu nigdy zatrzymywać się w połowie drogi, zawahać się przed niebezpieczeństwem, lub uciec z placu boju. Dewizą jego powinny się stać słowa matki-Spartanki, która powiedziała synowi posłanemu do Sparty przez Leonidasa z wieścią o klęsce pod Termopilami i wyginięciu całego hufca spartańskiego:

A czemuś ty nie zginął wraz z nimi?

Przed kilku wiekami narodami pionierskiemi byli Hiszpanie i Portugalczycy. Na wątłych łupinach ówczesnych statków żaglowych przepływali olbrzymie morza, ogniem i mieczem podbijali wielkie państwa, rozkrzewiali swoje panowanie aż do najdalszych krańców świata.

Potrafili oni walczyć z losem. Drobne ich grupy z nieustraszonem męstwem szturmowały mury niezdobytych napozór meksykańskich i peruwiańskich fortalicyj. Wślad zaś za Kortezami, Pizarrami i Almagrami sunęli koloniści, którzy podbijali gospodarczo ziemie zdobyte mieczem conquistadorów. Nie ulękli się dziewiczej, wszystko przytłaczającej przyrody, nie przepaliły ich energji palące promienie podzwrotnikowego słońca — przetrwali. I dzisiaj kilkanaście bogatych republik środkowo- i południowoamerykańskich, z ducha i języka hiszpańskich, jest świadectwem ich wspaniałego czynu pionierskiego.

Dwa ostatnie stulecia są jednak świadkami zmierzchu świetnych niegdyś zdolności pionierskich Hiszpanów i Portugalczyków. Dzisiaj narody te nie kroczą już naprzód, nie podbijają nowych ziem ani mieczem ani pługiem. Ich południowo-amerykańskie potomstwo wrębuje się w dalszym ciągu w głąb czerwonego lądu, ale same ludy macie-

rzyste pogrążyły się w jakimś starczym maraźmie, poprzestając na wspomnieniach o czasach, kiedy nad imperjum Karola V-go czy Filipa słońce nigdy nie zachodziło.

W ostatnich wprawdzie czasach coś się zaczęło ruszać na półwyspie Pirenejskim, ale w tem pełzaniu ku przyszłości niema ani cienia dawnego rozmachu, tej tężyzny hiszpańskiej i portugalskiej, która kazała Kolumbowi sunąć odważnie w nieznaną, zasnutą mgłami dal oceanu Atlantyckiego, a jego koledze po fachu — Portugalczykowi Vasco de Gama wstępować w ślady Egipcjan z epoki faraona Nechao. Wyczerpała się tężyzna pionierska Iberyjczyków i nie wiadomo, czy kiedyś jeszcze ukaże się w blaskach dawnej chwały.

Inne narody bojowym krokiem gladjatora wstąpiły na arenę dziejową. Miejsce Hiszpanów i Portugalczyków zajęli Anglicy, Francuzi, Holendrzy, Włosi... Szczególniej Anglicy. Naród ten owładnął blisko czwartą częścią globu, podbijając ją nietylko ostrzem bagnetów żołnierskich, lecz i pługiem swoich rolników-pionierów. Pług angielski uprawił olbrzymie szmaty Zjednoczonych Stanów, Kanady, Australji, pług ten był najlepszą legitymacją, uprawniającą do posiadania tak olbrzymich kawałów kuli ziemskiej.

Tam zaś, gdzie klimat uniemożliwił Anglikom ekonomiczne opanowanie podbitych krain własnym trudem, świetnie zorganizowali pracę innych, przysparzając swojej ojczyźnie wielkie dochody z planowej eksploatacji ludów kolorowych. Najlepszym dowodem zdolności organizacyjno-pionierskiej Anglo-Sasów są Indje i Egipt.

Rzecz naturalna, że pochód pionierski Anglików, podobnie jak i Hiszpanów, nie był wędrówką odważnych filantropów. Szli oni po trupach słabszych. Nie poprzestawali na ścinaniu drzew odwiecznych, lecz i ludzi skracali o głowy. Całe narody padły ofiarą drapieżności białych pionierów. Dość wspomnieć o Tasmańczykach, Delawarach, Tupinambasach, z których tylko nazwy pozostały... Trudno jednak — postęp wymaga ofiar. Przecież wynalazek maszyny zrujnował, a nawet zabił, więcej ofiar niż niejedna wojna, a nikt nie wątpi, że był on dobroczynny dla ludzkości. Wszystko, co nie jest przystosowane do życia, musi zginąć, musi zostać zmiażdżone kołami postępu.

W swej pięknej powieści „Daniel Rock" opisuje Alphonse Daudet, jak pewien, pogrążony w ideałach średniowiecznych, kowal nie chciał się zgodzić, żeby pod starożytnym zamkiem feodalnym przechodziła kolej. Nieznośna była dlań myśl, że marzenia o rycerzach zakutych w stal i pięknych księżniczkach, spoglądających smętnie przez okna gotyckie, będzie płoszył gwizd wpadającej do tunelu lokomotywy. Wydawało mu się to ohydną profanacją. Stanął wraz z synami na torze kolejowym u wejścia do tunelu, zbrojny w średniowieczną włócznię. Nadjechał pociąg. Daniel Rock nie ustąpił... Zginął. Zmiażdżyły go koła pociągu, symbolizującego postęp.

Śmierć Daniela Rocka jest przestrogą dla tych, którzy sądzą, iż można powstrzymać nieubłagany bieg życia, że można spoczywać w błogim kwietyzmie, nie zwracając uwagi na to, że inni śmiało i odważnie, często nawet po trupach, dążą ku jasnej, słonecznej przyszłości.

Nauki wypływające z tragicznej śmierci konserwatywnie nastrojonego kowala powinien szczególnie mocno wziąć do serca naród polski.

*
* *

I Polacy mieli okres pionierski w swoich dziejach. Topór chłopa polskiego podbijał niezbrodzone puszcze Litwy i Białej Rusi. Pług mazurski wyorywał zarosłe bodjakami i burzanami ukraińskie dzikie pola, miecz Chrobrego szczerbił się o bramy Kijowa. Podczas zaś, gdy wieśniak nasz wydobywał z tych ziem płody rolnicze, rozmaici panowie Wołodyjowscy, Skrzetuscy i Kmicice rąbali zwinnemi szablicami karki Turków, Tatarów i Moskali.

O. HENRY.

DWIE SZKOŁY.

Przekład z angielskiego
Stanisławy Kuszelewskiej

Stary pan Jerome Warren zamieszkiwał przy ulicy Soforth, w domu, wartym ze sto tysięcy dolarów. Był bankierem, tak bogatym, że mógł sobie nawet pozwolić na pieszą — dla zdrowia — przechadzkę do biura przez kilka ulic, zanim zawołał dorożkę.

Miał wychowanka, imieniem Gilbert, syna jednego ze swych starych przyjaciół. Gilbert zdobywał właśnie sławę malarską z taką szybkością, z jaką tylko zdolen był wyciskać farby ze swych tubek. Do rodziny należała jeszcze panna Barbara Ross, siostrzenica. Człowiek rodzi się poto, żeby mieć kłopoty; to też stary pan Jerome, nie mając dzieci własnych, wziął na siebie ciężar cudzych.

Gilbert i Barbara zgadzali się znakomicie. Przypuszczano i przebąkiwano ogólnie, że pewnego pięknego poranku ci dwoje staną na ślubnym kobiercu i przysięgną utrzymać pieniądze papy Jeroma w możliwie największym ruchu. Jednakże w tem miejscu opowiadania rozpoczynają się komplikacje.

Stary Jerome, przed laty trzydziestu będąc jeszcze młodym Jeromem, miał brata, imieniem Dick. Dick wywędrował na daleki Zachód, w poszukiwaniu własnego — lub cudzego — losu. Przepadł na całe życie, jak kamień w wodę, aż nagle, pewnego dnia, przysłał bratu list. List ów napisany był nader niepięknie, na szarym, zmiętym papierze od pakowania, wydającym woń wędzonej słoniny i taniej kawy. Pismo było astmatyczne, składnia — konwulsyjna. Okazało się, że nietylko Dick nie zwyciężył fortuny, ale odwrotnie, ona postawiła mu na karku nogę i kazała płacić haracz. Ledwie zipał, wśród zamętu kłopotów, których nawet wódka rozwikłać już nie mogła. Wszystkiem, co zdobył przez lat trzydzieści, była dziewiętnastoletnia córka-jedynaczka, którą teraz właśnie za opłaconym frachtem posyłał na Wschód, żeby odtąd brat Jerome karmił ją, odziewał, kształcił i hołubił aż do końca jej życia, albo do wrót małżeńskiego domu.

Dobroć starego pana Jeroma przyrównana być może do wielkiego bitego gościńca. Każdemu wiadomo, że kula ziemska spoczywa na barkach Atlasa; że Atlas stoi na grzbiecie żółwia. Otóż niewątpliwie żółw również na czemś stać musi. Stoi właśnie na gościńcu ubitym z dobroci takich ludzi, jak stary pan Jerome.

Nie wiem, czy nieśmiertelność przeznaczona jest człowiekowi. Jeśli jednak nie, to chciałbym wiedzieć kiedy tacy, jak stary Jerome, otrzymają to wszystko, co im się należy?

Cała rodzina spotkała Newadę Warren na dworcu. Nowoprzybyła panna była drobna, szczupła, mocno opalona i prześliczna. Sposób bycia miała szczery, prosty i nieprzymuszony, a jednak tak oryginalny, że wzbudzał zainteresowanie. Patrząc na Newadę, chciałoby się koniecznie widzieć ją w spódnicy pokolana i wysokich skórzanych getrach, strzelającą do celu albo ujeżdżającą dzikiego źrebca. Ale nawet w białej bluzce i czarnej spódniczce przykuwała uwagę. Bez wysiłku chwyciła i niosła ciężką walizkę, którą tragarze próbowali jej bezskutecznie odebrać.

— Pewna jestem, że będziemy w najlepszej przyjaźni — odezwała się Barbara, dotykając wargami ciemnego policzka.

— Mam nadzieję — odrzekła Newada.

— Kochana siostrzeniczko — powiedział stary pan Jerome — będziesz tak mile widziana w moim domu, jak w domu rodzonego ojca.

— Dziękuję — odpowiedziała Newada.

— Będę pani mówił „kuzynko" — wtrącił Gilbert z czarującym uśmiechem.

— Może pan zechce wziąć walizkę — odparła Newada — waży chyba miljon funtów. Zawiera próbki ziemi z dawnych kopalń tatusia — tłomaczyła Barbarze. — Wyliczyłam, że z sześciu tonn piasku wypłókać będzie można dziesięć centów, ale obiecałam tatusiowi że to zabiorę.

Był to najpiękniejszy okres pionierski w naszych dziejach. Husarja polska docierała aż do Moskwy i Warny, wzniecając postrach wśród wrogów, a radość między uciemiężonemi przez pohańców ludami, do których doszły już słuchy o cywilizatorskiem pionierstwie Polaków.

Najładniejszą stroną tej pionierskiej akcji naszego narodu było to, że nie polegała ona prawie wcale na tępieniu ludów, które znalazły się w orbicie naszego władania. Oprócz mieszkających na Podlasiu Jadźwingów, których wytępiły w zamierzchłych czasach Leszkowe drużyny, nie mamy na sumieniu wytępienia jakiegoś ludu. Przeciwnie nawet — broniliśmy jeszcze Litwinów i Rusinów przed zagładą, która groziła im ze strony obcych. Nieśliśmy na Kresy cywilizację i bezpieczeństwo, wysyłaliśmy tam rolników i rycerzy, nie żądając nic wzamian, nawet nie zabezpieczając na tych ziemiach supremacji naszego języka. Nic dziwnego, przecież „sanguis Polonarum dulcis est"".

Byliśmy zbyt łagodni, zbyt spokojni, zbyt mało wymagający. Skoro zdobyliśmy wielkie i żyzne krainy, na których mogliśmy rozwinąć swoje zdolności rolnicze, zaniechaliśmy dalszego marszu na Wschód i na Północ, do wolnych mórz. Nie wyrzuciliśmy Tatarów z Krymu, ani Krzyżaków z Prus Wschodnich. Pogrążyliśmy się w słodkim bezwładzie, nie chcąc wiedzieć o tem, że inne narody podążają śmiało naprzód, że koła historji gwałtownie się obracają.

Przyszła niewola.. Przed narodem naszym stanęło widmo zagłady. Groziło nam, że staniemy się pognojem dla innych bardziej ruchliwych i drapieżnych narodów. Z pionierów wieku XIV, XV i XVI-go zamieniliśmy się na żerowisko dla obcych, wrogich nam potencyj. Do Polski zjeżdżali koloniści niemieccy, do Polski wędrowali masowo moskiewscy „urjadnicy", tęskniący do sutej łupieży.

Zdawało się, że w pokonanym, zdeptanym stopą najeźdźcy, narodzie polskim wygasły już wszelkie zdolności pionierskie. Nieprawda! Wystarczyło postawić Polaka w nieco lepszych warunkach, aby natychmiast rozkwitły w nim głęboko zatajone zdolności. Przykładem zdolności pionierskich narodu polskiego są koloniści polscy w Paranie.

Żaden może z ludów, podbijających obecnie czerwony ląd, nie zmógł tylu przeciwieństw, co nasi rodacy. Trud ich znalazł nawet epika. Wspaniałe dzieło Konopnickiej „Pan Balcer w Brazylji" w iście homerowy sposób opowiada o doli i niedoli chłopa polskiego, zmagającego się na amerykańskim lądzie z dziką i bezlitosną przyrodą, oraz częstokroć gorszymi od niej ludźmi.

Dzisiaj romantyczny okres polskiego wychodźtwa w Brazylji już przeminął. Osadnik polski zasiedział się już, przystosował do zmienionych warunków życia, ale w dalszym ciągu, z niezmniejszonym zapałem podbija coraz to nowe połacie amerykańskiego kontynentu.

O zdolnościach pionierskich kolonistów polskich w Paranie tak pisał jeszcze w 1892 r. Stefan Żeromski [1]): „Ma on (t. j. Prus — przyp. aut.) tylko nieco mylny pogląd na kolonizację naszych chłopów w Brazylji. Gdy wyjdzie książka Hempla i Łażniewskiego, w naszej beletrystyce i wogóle w naszej prasie i myśleniu powstanie larum. Ci dwaj dowodzą, jak na dłoni, że kolonizacja w Brazylji naszych chłopów jest objawem wysoce dodatnim, że chłopi mają wszelką szansę stworzenia w okolicach Courityby (Kurytyby, stolicy stanu Parana — przyp. aut.) silnej kolonji. Dziś tam jest już około 50 tys. chłopów, osiadłych, żyjących w kupie i posuwających się krok za krokiem w głąb kraju w kierunku Kordyljerów. ...Klimat pyszny, naokoło są tylko „Karbukle" (cabocle — przyp. aut.), resztki mieszkańców tuziemczo-portugalskich, którzy pod naciskiem kultury rolniczej chłopsko-polskiej, podobno jedynej dziś na świecie kultury kolonizacyjnej rolniczej,

[1]) Stanisław Piołun Noyszewski — Stefan Żeromski, str. 302.

II.

Mówi się zwykle niemało o powikłaniach, jakie wynikają pomiędzy jednym mężczyzną a dwiema kobietami, lub jedną kobietą a dwoma mężczyznami, czyli, ogólnie mówiąc, w tak zwanym trójkącie. Trójkąty te miewają ściśle określone cechy. Mianowicie posiadają zawsze dwa boki równe — nigdy trzy. Tak też, z chwilą przybycia Newady Warren, ta ostatnia, Gilbert i Barbara Ross ustawili się w taki właśnie trójkąt, którego podstawę tworzyła Barbara, zaś tamci dwoje — owe boki równe.

Pewnego ranka stary pan Jerome po śniadaniu, przed pójściem do biura, zasiedział się dłużej nad gazetą. Pokochał on bardzo Newadę, widząc w jej spokojnej niezależności i niepodejrzliwej szczerości dużo podobieństwa do swego zmarłego brata.

Służąca zjawiła się z listem, adresowanym do panny Newady Warren.

— Posłaniec przyniósł, panienko — dodała. — Czeka na odpowiedź.

Newada gwizdała właśnie przez zęby jakiś hiszpański walc i przyglądała się przez okno powozom i samochodom sunącym po ulicy. Wzięła spokojnie kopertę i jeszcze przed jej otworzeniem stwierdziła, że list jest od Gilberta, koperta bowiem ozdobiona była w lewym górnym rogu maleńką złotą paletą.

Otworzywszy kopertę, Newada przez chwilę uważnie przyglądała się jej zawartości, mocno zaciekawiona. Potem z poważną miną podeszła do stryja i stanęła obok jego fotela.

Stryjku — powiedziała — Gilbert jest dobrym chłopcem, prawda?

— No pewnie, miły Boże! — odrzekł stary pan Jerome, hałaśliwie składając gazetę. — Przecież go sam wychowałem.

— Nie pisałby do nikogo nic takiego, czegoby nie można powiedzieć ani dać do przeczytania?

— Niechby spróbował! — sapnął starszy pan, uwalniając jedną rękę od gazety. — A o cóż chodzi?

— Niech stryjek przeczyta ten list, który mi Gilbert przysłał w tej chwili i zdecyduje, czy wszystko co on pisze jest odpowiednie i właściwe. Widzi stryjek, ja wiem tak mało o miejskich ludziach i ich sposobie postępowania...

Starszy pan Jerome cisnął gazetę na podłogę i postawił na papierze obie stopy. Chwycił list Gilberta i odczytał go gniewnie razy dwa — a potem trzeci.

— Ach, dzieciaku — ulżył sobie wreszcie. Jużem się zaniepokoił, chociaż byłem pewien tego chłopaka. To kopja ojca, czyli brylant czystej wody. Gilbert zapytuje poprostu, czy ty i Barbara zechcialybyście pojechać z nim dzisiaj o czwartej popołudniu na przejażdżkę samochodową do Long Island. Nie widzę w tym liście nic do skrytykowania prócz papieru; nie znoszę tego odcienia niebieskiego.

— Więc wypada pojechać? — zagadnęła chciwie Newada.

— Ależ tak, tak, tak, dziecko, rzecz prosta. Czemu nie? W każdym razie cieszę się, że jesteś tak uważna i ostrożna. Jedźcie bezwarunkowo.

— Nie wiedziałam, czy wypada — odrzekła skromnie panienka. Uważałam, że lepiej zapytać się stryjka. Czy stryjek nie mógłby pojechać z nami?

— Ja? Za nic w świecie! Jeździłem już raz samochodem, który ten smyk prowadził. Mam dosyć. Ale wam, paniom, wypada najzupełniej. Mnie zostawcie w spokoju.

Newada skoczyła ku drzwiom i zawołała do służącej: Sztama! Jedziemy! Odpowiadam za pannę Barbarę. Niech posłaniec tak powtórzy panu Warrenowi: „Sztama! Jedziemy!"

— Newado — wtrącił stary pan Jerome. Przepraszam cię, kochanie, ale czy nie należałoby odpisać Gilbertowi? Wystarczy parę słów.

— Ach, niewarto, nie chce mi się — uśmiechnęła się wesoło Newada. Gilbert zrozumie, on zawsze wszystko rozumie. Nigdy w życiu nie jechałam samochodem, ale zato wiosłowałam na Djablej Rzece przez Kanjon Martwego Konia. Jeżeli jazda samochodem jest przyjemniejszą to muszę spróbować!

zdolnej trzebić lasy oraz pustkowia i pysznie się zagospodarowywać, — ustępują. Niemiec tam nie wejdzie, Portugalczyk z miasta nosa nie wysuwa, kolonje te tedy nie mają żadnej szansy wynarodowienia się. Za dwadzieścia lat z tych chłopów, nad którymi my łzy ronimy, wyrośnie nasza gałąź, tak zdrowa, tak silna, tak samoistna, ,że będziemy łzy wylewać z radości... Podróżnicy mówili, że ani jeden chłop nie zmienił nawet dotąd akcentu — buduje polską chatę, polski kościół, chodzi w sukmanie... Prus się myli, twierdząc, że polski chłop „ma w Brazylji wszelkie szanse do wynarodowienia się". Jakie szanse? Przychodzi na pustynię ze swą kulturą, której tam niema, której na gwałt potrzeba, z tą namiętnością do posiadania ziemi, jaką w żydzie dopiero trza wyrobić, — nasz chłop zginie!? Bajki! — będzie żył w kupie z sąsiadami Polakami, będzie polszczył, a nie wynaradawiał".

Tyle Żeromski. Od siebie dodamy, że w chwili obecnej w Paranie mamy wielką, potężną i zwartą polską kolonię pionierską. Blisko 140,000 Polaków, osiadłych na własnych kawałach ziemi, posiadających własne szkoły, towarzystwa, parafje, sklepy, pisma i t. p. i t. p., stanowi najdoskonalsze świadectwo, że i Polacy, nawet w okresie niewoli, nie byli wyprani bez reszty ze zdolności pionierskich. Niestety, Parana była tylko zaszczytnym wyjątkiem. Polacy we Francji, Niemczech, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej nie byli pionierami-zdobywcami, lecz parobkami-najmitami, oddającymi swoje siły i zdolności obcym, niekiedy nawet wrogim ludom. Na ziemiach zaś dawnej Rzeczypospolitej Polskiej nietylko że nie mogliśmy uprawiać zdobywczego pionierstwa ekonomicznego lub cywilizacyjnego, lecz, przeciwnie, wytężaliśmy wszystkie siły, aby nie ulec miażdżącemu naporowi zaborców. Nie można było myśleć o pionierstwie w chwili, gdy pruska komisja kolonizacyjna wywłaszczała majątki polskie w Poznańskiem, lub gdy Moskale rujnowali konfiskatami większą własność polską na Litwie i Rusi po nieudanych powstaniach w latach 1831 i 1863.

Po wskrzeszeniu państwa polskiego w listopadzie 1918 roku sytuacja radykalnie się zmieniła. W zwycięskim swym pochodzie wojska polskie, podobnie jak ongiś drużyny Chrobrego, dotarły do Kijowa. Wprawdzie dalszy przebieg wojny uniemożliwił nam powrót do granic historycznych z 1772 lub 1667 roku, jednak i na tym terenie, jaki nam przypadł w udziale, mamy dosyć miejsca do rozwinięcia naszych zdolności pionierskich. Zwłaszcza Polesie może stać się olbrzymim polem pracy dla tych ludzi, którzy nie zapomnieli o tem, iż są potomkami tych, którzy ongiś podbijali swem męstwem i swym znojem wschodnie szmaty historycznej Polski.

Nie dosyć na tem. Mamy dostęp do morza, kończymy budować port gdyński. Coraz wyraźniej zarysowuje się dla nas możliwość ekspansji kolonjalnej. Przejąwszy część długów niemieckich, żądamy udziału w spadku kolonjalnym po b. cesarstwie niemieckiem. Są pewne dane, pozwalające sądzić, iż jakiś kawałek tych kolonij dostaniemy.

Przed narodem polskim otwierają się wspaniałe możliwości. Świat jednak należy do śmiałych, zręcznych i wytrwałych pionierów. Jeżeli będziemy spoczywać w błogim kwietyzmie, zadowoleni ze swej wegetacji, jeżeli nie pójdziemy zdobywać życia tak jak ongiś zdobywali je Hiszpanie i Portugalczycy, a dzisiaj Anglicy, Francuzi, Włosi, to zostaniemy zmiażdżeni bez litości przez triumfujący pochód nowego życia.

Jeśli nie chcemy przegrać w grze życiowej, musimy wytworzyć pionierski typ Polaka. Trzeba wyrabiać w sobie śmiałość, szybkość decyzji, energję, zaradność, zmysł postępu i inne cechy pionierskie.

Wielcy poeci romantyczni marzyli w czasie długich, narodowych nocy, że przyszła Polska będzie Mesjaszem narodów, czemś tak wielkiem i wspaniałem, że cała ludz-

---

III.

Minęło ze dwa miesiące.

Barbara siedziała w bibljotece wspaniałego domu pana Jeroma. Było to miejsce rader dla Barbary odpowiednie. Istnieje bowiem wiele miejsc na świecie, gdzie mężczyźni i kobiety odzyskiwać mogą siłę do walki z rozlicznemi trudnościami. Istnieją klasztory, uzdrowiska, konfesjonały, pustelnie, gabinety adwokatów, buduary pięknych dam, aeroplany i bibljoteki; najlepsze są właśnie bibljoteki.

Przeciwprostokątna potrzebuje zwykle niemało czasu, zanim zrozumie, że jest najdłuższym bokiem trójkąta. Że jest linją nietylko długą lecz i samotną.

Barbara była sama. Wuj Jerome i Newada poszli do teatru Barbara nie miała ochoty iść. Wolała zostać w domu i rozmyślać spokojnie w bibljotece. Gdybyś ty, czytelniczko, była elegancką newyorską panną i gdybyś widziała jak mała, bronzowa czarownica z Dalekiego Zachodu codzień mocniej zaciska lasso na szyji młodzieńca, którego pragniesz dla siebie — odechciałoby ci się również widoku najwspanialszego nawet przedstawienia.

Barbara siedziała przy ciężkim, dębowym stole bibljotecznym. Prawe ramię oparła o ciemne deski, palcami prawej ręki nerwowo kręciła zapieczętowany list. Adresowany był do Newady Warren. W lewym górnym rożku koperty złociła się mała paleta Gilberta. List przyniesiono o dziewiątej wieczór, wkrótce po odjeździe Newady.

Barbara oddałaby swój naszyjnik z pereł, żeby tylko móc się dowiedzieć, co list zawiera; nie mogła go jednak odczytać, otworzywszy nawet przy pomocy pary, obsadki, szpilki do włosów, albo wedle którejkolwiek z ogólnie uznanych metod — albowiem jej stanowisko towarzyskie zabraniało podobnego czynu. Próbowała przeczytać choć kilka słów, trzymając kopertę pod światło i przyciskając ją mocno do papieru, ale Gilbert miał zbyt dobry gust w dziedzinie papeterji, żeby umożliwić coś podobnego.

O wpół do dwunastej powrócono z teatru. Była wspaniała zimowa noc. Na przestrzeni paru kroków od powozu do drzwi ubieliła powracających gruba warstwa płatów śniegowych, miecionych wprost ze wschodu. Stary pan Jerome gderać począł dobrodusznie na złe dorożki i zatłoczone ulice. Newada, rumiana jak róża, paplała, błyskając szafirowemi oczyma, o zamieciach nocnych dookoła chaty ojca, ukrytej pośród gór. Podczas wszystkich tych rozważań zimowych Barbara, zmrożona w głębi serca, dorzucała drewek do komina — cóż bowiem odpowiedniego uczynić mogła?

Stary pan Jerome poszedł natychmiast na górę, śpiesząc do chininy i butelek z gorącą wodą, Newada zaś pierzchnęła do bibljoteki, jedynego wesoło oświetlonego pokoju, rzuciła się wgłąb ogromnego miękkiego fotela i — odpinając mozolnie długie po łokieć rękawiczki — głośno zachwycała się przedstawieniem.

— Tak, istotnie, dobrzy aktorzy są bardzo zajmujący... czasami — wtrąciła Barbara. — Jest tu list do ciebie, moja droga. Przyniósł posłaniec zaraz po waszem wyjściu.

— Od kogo? — zapytała Newada, mocując się guzikami.

— Hm — zaśmiała się Barbara. Nie wiem, mogę się tylko domyślać. Na kopercie jest ten śmieszny złoty znaczek, który Gilbert nazywa paletą, a który przypomina mi raczej zawiedzione serduszko na miłosnej epistole pensjonarki.

— Ciekawam, co ten Gilbert pisze — zauważyła obojętnie Newada.

— My kobiety, jesteśmy wszystkie jednakowe — odrzekła Barbara. — Z wyglądu koperty i marki próbujemy zgadnąć, co też zawiera list. Wreszcie jako deski ratunku używamy nożyczek i odczytujemy czemprędzej do końca. Proszę cię, oto list.

Poruszyła ręką, jakby chcąc rzucić list poprzez stół.

— Do stu tysięcy fur beczek — zawołała Newada. — Te drobne guziki są prawdziwą torturą! Wolałam nosić ogromne rękawice futrzane! Och, Basiu, bądź łaskawa obedrzeć ten list ze skóry i przeczytać głośno! Ja chyba do północy nie ściągnę tych rękawiczek!

— Co takiego? Nie chcesz chyba, żebym otworzyła list do ciebie od Gilberta? Pocóż ktokolwiek ma wiedzieć, co Gilbert do ciebie pisze?! , (d. n.).

kość zegnie przed nią głowę. My, dzieci cudownie wskrzeszonej Ojczyzny, powinniśmy przypomnieć sobie „dawne serca bicie", przypomnieć sobie „dawną wielkość duszy". Nie wolno nam zasklepiać się we własnych granicach i zadowolnić się swobodnym, miałkim postępem. Obowiązkiem naszym jest poszerzyć Polskę, uczynić z niej coś tak wielkiego i wspaniałego, żeby uklękła przed Nią zdumiona i oczarowana ludzkość.

Jeżeli chcemy uczynić z Polski „wielką rzecz" — musimy wyrwać z korzeniami ze swoich serc upokarzające wspomnienia niewoli i rozejrzeć się po pięknym i szerokim świecie, który jest dla ludzi odważnych, co „chcą chcieć" i potrafią swoje pragnienia wprowadzić w czyn.

Nasi przodkowie, odziani w skóry drużynnicy Chrobrego, potrafili chcieć. Czyż my inną posiadamy krew niż oni? Czyż nie jesteśmy synami tej samej polskiej ziemi?

W ostatnich wiekach nasza psychika narodowa nastawiona była na *defenzywę*. Przyzwyczajeni byliśmy do trwożnego zasłaniania się przed razami, które bezustannie na nas spadały. Rozumowaliśmy jak niewolnicy.

Dzisiaj musimy myśleć inaczej. Nie duch defenzywy, ale *ofenzywy* musi gościć w naszych sercach. Musimy dążyć do tego, aby Polacy zawsze kroczyli na czele, aby zawsze byli pionierami. Ludzi, chwała Bogu, nam nie brakuje. Płodność polska imponuje wszystkim. Możemy więc i musimy, bez wytchnienia, maszerować naprzód. *Polacy muszą stać się narodem pionierów-zdobywców.*

Bohdan Lepecki.

CZY NIEWOLNICTWO JESZCZE ISTNIEJE?

Czy niewolnictwo jeszcze istnieje? „Dziwne pytanie?" odpowiedziałby niejeden z czytelników — „oczywiście, że zostało już dawno zniesione, mianowicie jeszcze w ubiegłym wieku".

Opinja taka panuje dzisiaj powszechnie, to też z wielkiem zdziwieniem dowiedziano się, że niedawno na pewnej międzynarodowej konferencji omawiana była sprawa, istniejącej dotychczas w kolonjach, tak zwanej pracy przymusowej (fr. travail forcé; ang. forced labour; niem. Zwangsarbeit), której system właściwie niewiele się różni od dawnej formy niewolnictwa.

Większość kolonij, jakie powstały w ciągu XVII i XVIII a nawet XIX stulecia posiadała charakter plantacyjny — były one zakładane w krajach, których klimat był zabójczy dla Europejczyka i czyniąc go niezdolnym do fizycznego wysiłku, zmuszał do używania tubylczej siły roboczej. Wykorzystując swoją przewagę cywilizacyjną, kolonizator posuwał do ostatecznych granic wyzysk ludów kolorowych, traktując każdą kolonję, jako źródło szybkiego dorobku za wszelką cenę. Biały człowiek zawładnął człowiekiem kolorowym, jak swoją prywatną własnością i wskrzesił dawną, tak powszechną w starożytności, instytucję niewolnictwa.

Takiemu stanowi zczasem sprzeciwiły się prądy humanitarne, domagające się równouprawnienia wszystkich ludzi. Ale mimo ich zwycięstw na licznych kongresach, a nawet i na polu walki (wojna o zniesienie niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych A. P., 1861—1865), państwa europejskie bynajmniej nie myślały wyrzec się kolonij, a będąc pozbawione dotychczasowej siły roboczej, niewolnictwo zastąpiły tak zwanym systemem pracy przymusowej. Praca ta polegała początkowo na wykonywaniu przez tubylców pewnych robót publicznych (budowa kolei, dróg, regulacja rzek i t. p.), trwać miała ściśle określony przeciąg czasu i być należycie wynagradzana, jednak rychło, pozbawione kontroli, administracje kolonij zaczęły używać tubylców do prac w interesie osób prywatnych (często w kolonjach trudno odróżnić korzyści państwa rządzącego od korzyści jego obywateli), czas pracy stawał się coraz dłuższy, płace — coraz niższe. Gdy dla wykonania jakiejś pracy, nie można było na jej miejscu wyszukać dostatecznej liczby robotników, zaczęto ich ściągać z innych stron, zmuszając nieraz tubylców do opuszczania siedzib i przenoszenia się o tysiące nawet kilometrów. Jeżeli wyznaczani do pracy przymusowej woleli raczej ponieść karę, niż dobrowolnie udać się do wskazanej miejscowości, sprowadzano ich siłą. Zdarzało się, że krajowcy, wyczerpani zbyt ciężką pracą i złem traktowaniem, próbowali uciekać, to też nieraz skuwano ich do pracy. Miało to miejsce chociażby na terenach koncesji francuskich w Chinach, gdzie tubylcy czyszczący ulice pracowali skuci po kilku razem. Człowiek kolorowy w zasadzie wolny, w takich warunkach coraz bardziej upodabniał się do dawnego niewolnika.

Taki stan rzeczy przetrwał do chwili obecnej, a pierwszą konferencją światową, na której poruszono sprawę „nowoczesnego niewolnictwa" była XII Konferencja Pracy. Odbyła się ona nie dawniej, jak w czerwcu bieżącego roku w Genewie.

Konferencje Pracy, złożone z przedstawicieli pracodawców, robotników i rządów, są zwoływane co rok z inicjatywy Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie, istniejącego przy Lidze Narodów. Sprawa pracy przymusowej, po długich staraniach, została wpisana na porządek dzienny Konferencji, na skutek żądania grupy przedstawicieli robotników, którzy na samej Konferencji domagali się w zasadzie zniesienia pracy przymusowej, chcąc ją, przynajmniej narazie, poddać pewnym ograniczeniom. Przedstawiciele pracodawców i państw kolonjalnych godzili się jedynie na wprowadzenie niewielkich ulg dla tubylców, zdecydowanie przeciwstawiając się całkowitemu zniesieniu tego systemu pracy. Jako argument za jego utrzymaniem wysuwali oni niski stan cywilizacji ludów kolorowych. „System tej pracy jest złem — mówili — lecz złem koniecznem; należy go jeszcze zachować w interesie samych krajowców".

W namiętnej dyskusji, jaka wywiązała się nad tą kwestją, na czoło mówców wysunął się właśnie przedstawiciel tych ludów, które są zmuszone do odbywania pracy przymusowej — malajczyk Hadżi Salim. Osobą swoją zadał on kłam twierdzeniom pracodawców o niższości kulturalnej ras ciemnych, będąc jedynym delegatem, który przemawiać potrafił w obydwu oficjalnych językach Konferencji: francuskim i angielskim. Kiedy po skończonem przemówieniu tłumacz powtarzał jego treść w drugim języku oficjalnym, potrafił go nawet poprawiać. On jeden zdobył się na zupełnie jasne postawienie sprawy kolonij.

— Fakt posiadania ich przez państwa cywilizowane — mówił — jest poprostu bezprawiem. Deklamowanie delegatów robotniczych przeciwko systemowi pracy przymusowej nie jest szczere, bo bez systemu tego posiadanie kolonij nie miałoby właściwie sensu. A korzyść z kolonij odnosi nie tylko pracodawca europejski, ale i europejski robotnik. Gdy chodzi o szczegóły w administrowaniu kolonjami, wówczas występują niewielkie różnice między pracodawcami a robotnikami, ale w stosunku do samej zasady posiadania kolonij biała rasa występuje zwartym frontem. Nadejdą jednak czasy, kiedy ludy kolorowe wyzwolą się z pod hegemonji rasy białej, która im dzisiaj nie pozwala na swobodny rozwój".

Po Hadży Salimie wśród wielu mówców zabrała również głos p. Eugenja Waśniewska, która odczytała oświadczenie Stowarzyszenia Kobiet Polskich, solidaryzujące się całkowicie z treścią przemówienia, gorąco oklaskiwanego malajczyka.

Polska, która nie posiada kolonij i której interesy nie krzyżują się z dążeniami wyzwoleńczemi ludów Azji i Afryki, z całą sympatją wita tendencje, zmierzające ku usunięciu z powierzchni ziemi systemu pracy przymusowej, ostatniej pozostałości hańbiącego ludzkość niewolnictwa.

Wojciech Krzyżanowski.

OBOWIĄZKI WOBEC PAŃSTWA LUDNOŚCI WIEŚNIACZEJ W POLSCE DZIELNICOWEJ.

Wśród czytelników naszego czasopisma istnieje zapewne grupka (a może nawet liczna?), której zainteresowania historyczne wybiegają poza obowiązujący podręcznik, „teksty źródłowe", czy wypisy historyczne, a którym brak czasu i konieczność możliwie równomiernego rozdzielania swego czasu pomiędzy obowiązujące przedmioty szkolne nie pozwalają szperać wśród grubych tomów dzieł, dla zaspokojenia ciekawości historycznej. Z tymi zamiłowanymi historykami pragnę się podzielić garstką moich wiadomości, zaczerpniętych wprost jakby „z pierwszej ręki", ze źródeł historycznych, kodeksów, dokumentów, które są nieprzebraną skarbnicą najciekawszych wiadomości historycznych, a które rozświetlają szperaczowi mroki dawnych czasów.

Rozczytując się w „Kodeksie dyplomatycznym Małopolski", czyli w dziele obejmującem zbiór dokumentów, wydanych od czasów najdawniejszych (XII wiek), przez różnych książąt dla tej dzielnicy, gdzie leżało serce Polski — Kraków, natrafiłam na bardzo ciekawe wiadomości o położeniu ludności wieśniaczej, o jej obowiązkach względem państwa i temi wiadomościami chcę się podzielić z miłymi czytelnikami.

A ponieważ materjału źródłowego jest bardzo dużo, więc z konieczności muszę się ograniczyć tylko do przedstawienia położenia wieśniaków w okresie Polski dzielnicowej. Jednocześnie zaznaczam, że chociaż to, co tu będę mówiła, dotyczy Małopolski, jednak wówczas położenie ludności wieśniaczej i w innych częściach Polski było takie same, różnice dzielnicowe nie były tu tak znaczne.

Polska w owym czasie (XIII wiek) szumiała rozległemi borami, człowiek musiał z trudem walczyć z przyrodą o ziemię, z trudem przygotowywał ją pod zasiew. Raz zdobyta pod uprawę, dawała bogate plony, bo była żyzna, a liczne rybne rzeki ułatwiały komunikację wewnątrz kraju.

Ludność wieśniacza, osiadła na roli, w małej tylko cząstce wolna, w większości wypadków „przypisana do ziemi (glebae adscripti), związana z osobą księcia, klasztoru czy biskupstwa, pozbawiona prawa zmienienia tego pana, od niego zależna, obarczona była jeszcze szeregiem danin i posług na rzecz księcia danej dzielnicy.

Daniny nie wszędzie były jednakowe, gatunek ich i rodzaj zależny był od warunków geograficznych, w jakich dana wieś się znajdowała. Pieniądz w owych czasach jest jeszcze rzadkością, więc przeważnie daniny spłaca ludność w naturze.

A nazywały się te daniny różnie.

Bardzo pospolitą daniną był t. zw. narzaz, oto wioska musiała na dwór księcia dostarczyć pewną ilość wołów, wieprzy, krów, baranów na rzeź — na wyżywienie dworu. Na utrzymanie dworu również szła danina zbożowa — sep, pobierany w listopadzie, kiedy zboże było już zebrane i wymłócone. Każdy wieśniak obowiązany był do płacenia księciu podatku gruntowego od ilości wołów, których używał do uprawy roli t. zw. powołowe, lub poradlne od radła, używanego do uprawy. Nazwa poradlne pochodzi z czasów, gdy grunta mierzono według pierwotnego narzędzia do uprawy roli — radła. (Radło = 15 morgom). W czasach późniejszych zastąpi ten podatek t. zw. podworowe (od dworu). Są to „praojcowie" owego łanowego, wyprowadzanego od podziału ziemi na łany, który był ściągany zczasem od wszystkich posiadaczy ziemi, a którego rozmiary dla szlachty Ludwik Węgierski zredukuje w przywileju Koszyckim do 2 groszy.

W epoce piastowskiej książęta nie mieli stałych miejsc zamieszkania i wskutek tego często odbywali długie podróże, niejednokrotnie w celu sprawowania władzy sądowniczej. Trudno było brać ze sobą wszystko, co mogło być potrzebne w drodze, tembardziej, że zwykle książe wybierał się w drogę z licznym dworem i tłumem panów, z którymi uprzyjemniał sobie czas polowaniem na grubego zwierza. Obowiązkiem wieśniaków było utrzymać i wyżywić całą tę rzeszę. Jest to t. zw. stan, stacja. Za księciem ciągną rzesze piwowarów, którzy mu warzą piwo, piekarzy, którzy napoczekaniu z dostarczonej przez wieśniaków mąki, pieką chleb, koniuszych, łowczych, psiarków, opiekujących się sforą psów, która idzie z panem, by mu służyć na polowaniach i t. d. Część tego otoczenia książęcego niekiedy zostaje, gdy on już odjedzie; np. łowcy w okolicach lesistych zostają pilnować legowisk dzikiego zwierza, lub polują dalej, aby dostarczyć zwierzyny na stół pański. Zostaje i sfora psów, którą też wieś musi żywić.

Taką „stację" książęcą trzeba było zaopatrzyć nietylko w żywność, ale i w poduszki miękkie, kołdry, prześcieradła piękne, lniane, w naczynia, ławy i wszelki sprzęt, potrzebny księciu, aby mógł wygodnie mieszkać.

Z biegiem czasu obowiązek utrzymywania książęcego dworu i jego służby zamieniono na określoną opłatę, chociaż jeszcze Henryk Brodaty tytułem stanu zbierał „po 60 donic miodu i 50 małych wozów siana"!

Nie mniej liczne, a może bardziej uciążliwe były posługi publiczne.

Polska XIII w. wciąż jeszcze pokryta jest w wielu okolicach ogromnemi lasami, nieraz nieprzebytemi dla osób nie znających w nich dróg i przejść, dlatego przy podróżowaniu po niej ustawicznie jest potrzebna pomoc osób obeznanych z daną okolicą. To też gdy ciągnie książę z orszakiem, czy idą rycerze na spotkanie wroga, czy też wiozą do grodu jakieś towary dla księcia, wieśniacy są obowiązani do t. zw. przewodu: muszą im na swoich ziemiach przejście ułatwić, dostarczyć przewodników. A niekiedy trzeba było jeszcze dać i podwody, konie i wozy do przewiezienia transportu do najbliższej wsi, na którą zkolei spadał ów ciężar.

Nie mniej ciężki był obowiązek stawiania się na wezwanie do budowy czy naprawy grodu, mostu. Nieraz zapewne odwoływano do tego wieśniaka od zagonu niezżętego zboża. Gród, konieczny dla zabezpieczenia kraju od nieprzyjaciół, nie mógł czekać, przeciwnie, najczęściej powoływał go właśnie w tym czasie, gdy miał on u siebie najwięcej pracy, gdyż wiosna i lato były najodpowiedniejszą porą do naprawy walących się, lub wznoszenia nowych, murów. Niekiedy w dokumentach historycznych znajdujemy bliższe określenie, jakie jedynie roboty przy budowie ma wykonywać ludność wieśniacza. Tak np. wieśniacy ze wsi, należącej do katedry krakowskiej, za Bolesława Wstydliwego obowiązani byli przy przebudowie grodu krakowskiego i sandomierskiego wybudować w każdym po 2 izby.

Bardzo ciekawą posługą jest t. zw. stróża. Polegała ona na tem, że wsie okoliczne winny były dostarczać stróżów nocnych nietylko do pilnowania własnych osad, ale także pobliskich miast i grodów, stacyj i rzeczy książęcych, podczas objazdów księcia po kraju. Były też w początkach jeszcze XIII w. urządzane stróże wieśniaków dla obrony granic.

Musiało być to uciążliwe, odwoływało wieśniaka od domu, dlatego korzystną dla niego była zmiana zczasem tego obowiązku na opłatę.

Zamiłowanie księcia do polowań odbijało się na wieśniakach nietylko wtedy, gdy tenże polował w okolicy, gdy pozostawała we wsi jego służba łowiecka, ale nawet i wtedy, gdy wszyscy się oddalili. Oto na ich utrapienie ukazał się w okolicy sokół, wyśledzono, że w pobliskim lesie założył sobie gniazdo, już są pisklęta, trzeba ich pilnować póki nie przybędą łowcy ze dworu i nie uniosą książęcego ptaka. Nie wolno drzewa rąbać w pobliżu, nie wolno nawet zbliżać się do drzewa, na którem się gnieździ, bo to mogłoby go spłoszyć.

Wiele kłopotu, a jaka odpowiedzialność za niedopilnowanie!

Podczas samego polowania wieśniacy są powoływani do naganki i muszą pospieszać za „psim śladem" (śledznicy).

Las jest więc źródłem kłopotów, ale często i korzyści dla wieśniaka, gdyż książe niekiedy pozwala mu ze swoich lasów korzystać, wycinać drzewa, zbierać jagody.

Gorzej było ze zwierzem; sarny, jelenie, kozy, to zwierzęta książęce, na które nawet prałaci i kanonicy, jak to widać z przywileju Leszka Czarnego dla kolegjaty sandomierskiej, mogą polować jedynie za specjalnem pozwoleniem, cóż mówić dopiero o biednych wieśniakach, dla których pewnie pozostawały drobne wiewiórki, kuny (których skórkami wypłacali niekiedy daniny).

Cała ludność na terenie Małopolski obowiązana jest do służby wojskowej, naturalnie w obozach.

W ciągu XIII wieku książęta, rozdając wsie kościołom, klasztorom, bardzo często zwalniają ludność wieśniaczą, mieszkającą w tych wsiach, od tego obowiązku, ale zawsze pozostawiają jej obowiązek obrony kraju w razie wejścia nieprzyjaciela na polskie ziemie.

Małopolska w XIII w. bardziej niż inne dzielnice była narażona na najazdy Tatarów, to też wszelka i najliczniejsza pomoc była pożądana i nie można się było jej wyzbywać.

W mniejszym stopniu niż daniny i posługi trapiły zapewne wieśniaka cła, pobierane przy przewożeniu towarów i na targach, gdyż wieśniak w XIII w. nie gonił jednak za pieniędzmi, których w obiegu było mało, niewiele miał też przedmiotów na sprzedaż.

Taki to długi różaniec obowiązków ciążył na polskim wieśniaku w Polsce dzielnicowej. Jak skromnie wyglądają wobec tego „ciężary" jego dziś wobec państwa!

A jeszcze do tego pamiętajmy co dawało państwo swemu obywatelowi wtedy a dziś. Nikt nie przejmował się wtedy bezpieczeństwem wieśniaka, jeśli się sam nie obronił od nagłego najazdu nieprzyjaciela, lub jeśli obrona jego wsi nie leżała w planie obrony państwa, nikt się jego stratami nie przejmował. Dziś może spać spokojnie, na straży jego snu stoi czujna straż żołnierska, jego mienia strzeże państwo, „stróża" jego niepotrzebna; o oświatę jego dzieci troszczy się państwo, a ileż mu daje udogodnień kulturalnych! Ma prawo więc dziś państwo domagać się spełniania sumiennego tych skromnych obowiązków, jakie nakłada na swoich obywateli wobec ogromu dobra, które obywatelowi daje.

Irena Posseltówna

Z PRZYRODY I TECHNIKI.

NOWE ŚWIATY PLANETARNE.

Gdy konie króla Persów pojono wodą z Helespontu, a pod Maratonem Miltjades wzywał nieliczne zastępy ludu ateńskiego do walki z obcym najeźdźcą, gdy nad Tybrem Roma w młodzieńczych marzeniach przeczuwała, że Ziemia będzie pod jej władzą, gdy odważni żeglarze Kartaginy docierali do granic znanych ludziom krain, Ziemia była dużą wyspą w ogromnym oceanie wszechświata, po której wklęsłej tafli niebieskiej pływały gwiazdy wraz ze Słońcem i Księżycem. Nasz mały glob był wtedy środkiem kosmosu, a Darjusz słusznie mógł się uważać za pana całego świata.

Dopiero dzieło życia Kopernika przyniosło nam wiadomość, że coprawda Ziemia nasza jest wyspą, lecz nie jedyną, że wokół nas otwierają się nieskończone przestrzenie wszechświata, że dziesiątki miljonów kilometrów dzielą nas od Słońca, oraz innych planet, krążących, jak Ziemia, dookoła wspólnej gwiazdy dziennej.

Pięć planet znano już prócz Ziemi w starożytności, najdalej od Słońca oddaloną był Saturn, strażnik naszego układu planetarnego, dokonujący jednego obrotu dookoła Słońca w ciągu 29½ lat. Nie przypuszczano, że poza Saturnem mogłaby jeszcze istnieć inna planeta, tocząca się dookoła Słońca w większej jeszcze odległości.

Gdy więc dnia 13 marca 1781 roku wielki astronom William Herschel zauważył w konstelacji Bliźniąt nowe, nieznane mu dotąd ciało niebieskie o słabym blasku, przypuszczał, że odkrył nową kometę. Tymczasem okazało się, że Herschel odkrył wtedy nową planetę Urana, krążącą poza orbitą Saturna dookoła Słońca w odległości 2.869 miljonów kilometrów. Podobnie, jak ongiś Kolumb odkryciem Ameryki podwoił obszary ziemskie dostępne ludzkiej kulturze, tak Herschel rozszerzył znacznie rozmiary naszego układu planetarnego. Nie dziwili się też odtąd astronomowie, gdy począwszy od początku przeszłego stulecia odkryli stopniowo około 1000 maleńkich planet, krążących dookoła Słońca pomiędzy orbitami Marsa a Jowisza. Są to miniaturowe ciała niebieskie, których rozmiary nie dają się określić, gdyż średnica tych maleńkich globów nie przekracza przeważnie 15 kilometrów.

Odkrycie owych setek miniaturowych światów gwiezdnych nie powiększyło jednak rozmiarów naszego układu planetarnego, gdyż poza owemi „planetoidami" krążą w znacznie większych od Słońca odległościach: Jowisz, Saturn i, odkryty przez Herschela, Uran.

Dalsze rozszerzenie naszych planetarnych widnokręgów nastąpiło w roku 1846, kiedy odkryto Neptuna. Odkrycie tej planety, krążącej dookoła Słońca o przeszło 1 600 mijonów km, dalej, a niżeli Uran, nastąpiło wśród tak znamiennych okoliczności, że czyn ten zawsze będzie stanowił jedną z najwspanialszych kart współczesnej astronomji. Nie przypadkiem bowiem odkryto Neptuna, jak ongiś Urana. Długoletnie badania, pomiary i obliczenia przekonały astronomów o istnieniu tego ciała niebieskiego w dalach przestrzeni kosmicznych.

Po fakcie odkrycia Urana starano się jaknajdokładniej wyznaczyć jego orbitę, obliczyć na podstawie powszechnego prawa ciążenia Newtona dalszą jego drogę na tle sklepienia niebieskiego. Wszystkie planety kierowały się dotąd skrupulatnie według tego prawa, nie wątpiono więc ani na chwilę, że i tym razem sprawdzą się obliczenia. Ku wielkiemu zdumieniu astronomów Uran jednak wyraźnie zbaczał z obliczonego toru.

Już na początku zeszłego stulecia szereg znakomitych astronomów wyraził przypuszczenie, że powodem niesamowitego ruchu Urana jest przyciąganie jakiejś innej, nieznanej jeszcze, planety, krążącej poza jego orbitą.

Zagadnieniem tem zajął się młody matematyk i astronom francuski Le Verrier, który w roku 1846 zbadał ponownie wszystkie ob-

serwacje tyczące Urana, przeliczył je i usiłował ze zboczeń Urana z drogi obliczonej wyznaczyć orbitę, masę i chwilowe położenie nieznanej planety na tle sklepienia niebieskiego.

O wynikach swych badań poinformował młody uczony obserwatorjum berlińskie i prosił równocześnie o poszukiwanie nieznanej planety we wskazanej przez niego części nieba. Faktycznie Gall, dyrektor tegoż obserwatorjum znalazł dnia 3 września, w pobliżu miejsca obliczonego, nową planetę, Neptuna.

Po raz pierwszy w historji astronomji zdarzyło się, że odkryto na drodze czysto rachunkowej ciało niebieskie, masą przewyższające 17 razy masę Ziemi, że uczeni przewidzieli istnienie planetarnego globu, nim zdołano dostrzec odległy ten świat zapomocą szklanych oczu lunet. Przekonano się, że genjusz ludzki dalej sięga, aniżeli słabe nasze, niedokładne zmysły i przyrządy. Nabraliśmy zaufania do ścisłych obliczeń matematycznych i dziś wiemy, jakie są rozmiary gwiazd odległych od nas tak bardzo, że promień świetlny, przebywający 300 000 km w jednej sekundzie, potrzebuje setek lat, by dotrzeć do nas z odległych światów gwiezdnych.

Jeżeli zaś nie mylą nas znaki na niebie, bardzo jest możliwem, że powtórzy się ponownie historja odkrycia Neptuna.

Od kilku bowiem lat żalą się znów astronomowie, że Neptun zbacza nieco ze swego toru. Odchylenie obserwacyj od obliczeń jest coprawda znacznie mniejsze, aniżeli miało to miejsce w wypadku leverrierowskim, istnieje słaba możliwość tłomaczenia całej anomalji nieścisłością obserwacji; wiele jednak przemawia zatem, że poza orbitą Neptuna istnieje planeta, dokonywująca jednego obiegu dookoła Słońca w ciągu 407 lat. Pickering, doskonały astronom amerykański, podjął się tym razem trudu skrupulatnego przerachowania obserwacyj. Jemu też zawdzięczamy garść wiadomości o owej planecie, nie obserwowanej jeszcze przez nikogo.

Planeta pozaneptunowa jest blisko 8½ miljarda kilometrów oddalona od Słońca i Ziemi! Z tej olbrzymiej odległości Słońce przedstawia się tylko jako zwykła gwiazda, jasno świecąca. Gdyby na owej odległej planecie istnieli ludzie uzbrojeni nawet w najsilniejsze lunety, nie dostrzegliby Ziemi, krążącej tuż dookoła owej jasnej gwiazdy. Masa nieznanej planety równa jest podwójnej masie Ziemi.

Za istnieniem tej planety przemawia nietylko zboczenie Neptuna z jego zasadniczej drogi, lecz inna jeszcze okoliczność. Przy badaniu komet astronomowie doszli do podziału wszystkich niemal komet na pewne grupy, z których każda ma jakby swego patrona w jednej z planet naszego układu planetarnego. Odróżniamy więc rodzinę komet Jowisza (bardzo liczną), Saturna, Marsa i Ziemi. Wszystkie komety, należące do rodziny naprzykład Jowisza, odznaczają się tem, że w pewnej części swej orbity zbliżają się bardzo do toru Jowisza. W tem właśnie miejscu dana kometa została kiedyś pod wpływem przyciągania Jowisza zmuszona do opuszczenia swego toru i do krążenia dookoła Słońca po nowej orbicie. Do rodziny komet Neptuna należy np. znana kometa Halleya, ostatni raz obserwowana w roku 1910/11.

Istnieje wiele komet, których orbita wskazuje właśnie na planetę pozaneptunową, w odległości wyżej wymienionej.

Jeśli jednak sprawdzenie rachunku Le Verriera trwało bardzo krótko i Neptun prędko został odkryty wśród rzeszy gwiazd stałych, zdobiących wraz z nim tło nieba, to nie należy się spodziewać rychłego odkrycia planety pozaneptunowej. Ponieważ zaś stwierdzono, że nieznana planeta dokonywa jednego obrotu dookoła Słońca w ciągu 407 lat, trudno będzie ją odróżnić (z powodu powolności ruchu) wśród owej powodzi gwiazd, którą dostrzega lunetarne oko astronoma.

Oczywiście nie można a priori uważać sprawy za niemożliwą. W ostatnich latach osiągnęliśmy tak wspaniałe wyniki we wszystkich dziedzinach nauki, że trudno pozbyć się najoptymistyczniejszego nastroju wiary w dalszy, niebywały postęp przyrodoznawstwa, a szczególnie astronomji.

Dr. F. Burdecki.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO.

STOSUNKI SOWIECKO-ANGIELSKIE.

Wraz z dojściem do władzy rządu Labour Party, stosunki angielsko-sowieckie weszły w nową fazę rozwojową. Jak wiedomo, w programie wyborczym tej partji nawiązanie stosunków z Sowietami figurowało na naczelnem miejscu. Macdonald po dojściu do władzy chciał za wszelką cenę choć w tym jednym punkcie, zrealizować całkowicie manifest wyborczy swej partji. Na jednem z ostatnich posiedzeń Izby Gmin b. minister spraw zagranicznych Anglji sir Austin Chamberlain zainterpelował obecnego ministra Artura Hendersona o zamierzenia rządu Partji Pracy wobec, niezwykle ożywionej w ostatnich czasach, agitacji III Międzynarodówki w Indjach i Afryce Południowej. Wskazywał on jednocześnie, iż rząd sowiecki zobowiązał się nie prowadzić żadnej akcji propagandowo-komunistycznej ani w Anglji ani w krajach jej podległych (układ z roku 1924), i dotychczasowe rządy Anglji wyciągały konsekwencje z takich faktów. Skoro bowiem mimo zawarcia tego układu, Sowiety nie starały go się nawet przestrzegać i wspierały strejk górników angielskich, prowadziły propagandę komunistyczną między wojskami kolonjalnemi i ludnością tybulczą Dominjów i t. d., to rząd konserwatystów z lordem Baldwinem na czele zdecydował się na zerwanie stosunków dyplomatycznych z Sowietami.

Należy podkreślić, że Sowiety starały się zwalczać potęgę Imperjum Brytyjskiego, gdzie tylko to było możliwe. Wojna w Afganistanie i w Chinach, zamieszki w Indjach i w Egipcie wskazują, że wydział propagandy sowieckiej nie „zasypiał" sprawy i starał się wszędzie osłabić wpływy angielskie.

Rząd Labour Party znalazł się w trudnem położeniu, bo choć zdawał sobie sprawę z tych wszystkich trudności, jakie się nasuwają przy wznowieniu stosunków, to jednak konieczność zrealizowania, choć częściowego, programu wyborczego wobec nacisku mas, zmusiła Mac Donalda do licznych ustępstw na rzecz Rosji Sowieckiej. Henderson rozpoczynając pertraktacje z Sowietami uważał, że należy omówić odrazu całokształt spraw między Rosją a Anglją, a więc najważniejszą sprawę uregulowania kwestji przedwojennych długów Rosji wobec Anglji. Wyraźny i zdecydowany sprzeciw sowiecki zmusił Hendersona do zrezygnowania chwilowo z rozważania tej sprawy i ostatecznie 3 października r. b. została podpisana umowa, regulująca ostatecznie podjęcie oficjalnych stosunków między obu krajami. Umowę tę podpisali Henderson i Dowgalewski. Protokuł ten został zaakceptowany przez Izbę Gmin dnia 5 listopada.

I o to w chwili, gdy jeszcze ani ambasador sowiecki w Londynie, ani angielski w Moskwie nie objęli swych funkcyj, już rozpoczynają się nowe trudności.

Prasa sowiecka nie przestaje atakować bardzo ostro rządu Labour Party, któremu zarzuca zdradę interesów warstw pracujących, nazywając go „narzędziem kapitału w walce z robotnikami". Ponadto III Międzynarodówka wydała ostatnio manifest do ludów Indji, zachęcający do nieustawania w walce z Anglją i nie przerywania walki o Niepodległość. Naturalnie rząd sowiecki może się tłomaczyć, że nie jest odpowiedzialny za posunięcia III Międzynarodówki, ale Henderson podkreślił w jednym z wywiadów prasowych, iż uważa III Międzynarodówkę za organ rządu sowieckiego. Mimo zatem pozornego nawiązania stosunków oficjalnych między Rosją Sowiecką a Anglją, konflikt między obu państwami istnieje nadal.

Zbigniew Zapasiewicz.

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO.

WIELKI KRACH GIEŁDOWY W STANACH ZJEDN.

W ciągu kilkunastu zaledwie dni olbrzymi krach giełdowy w Stanach Zjednoczonych wydobył z kieszeni narodu amerykańskiego sumy, które starczyłyby na zapoczątkowanie nowej wojny światowej. Tysiące ludzi potraciło całe majątki, miljony ogołociło się ze swoich drobnych oszczędności, przeznaczonych na czarną godzinę. Bankructwa i samobójstwa są na porządku dziennym.

Ale niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Pewien mądry bankier z New Jorku twierdzi, że krach giełdowy w Ameryce spowoduje, iż wielu ludzi wróci do normalnej pracy, zamiast, jak dotąd, wysiadywać na giełdzie dla zdobywania łatwego grosza. „Nie było takiego okresu w historji, aby tylu durniów robiło pieniądze" — mówili humoryści amerykańscy. Dziś mogą powiedzieć, że nigdy w historji nie było takiego okresu, w którym tylu durniów straciło pieniądze tak szybko.

Ludzie, którzy poświęcali dotąd swój czas na pilnowanie zwyżki i zniżki akcyj — prawdopodobnie zaczną czas ten poświęcać bardziej pożytecznym zajęciom.

Bezpośrednie przyczyny krachu giełdowego są bardzo proste. Gdy akcje rozmaitych przedsiębiorstw doszły do niebywałej wysokości, garść bankierów postanowiła wstrzymać dalszą zwyżkę. Wśród spekulantów, grających na zwyżkę akcyj, powstała panika, która w konsekwencji spowodowała olbrzymi krach.

Głębsze przyczyny kryzysu giełdowego w Stanach Zjednoczonych leżą między innemi w kryzysie rolniczym. W roku bieżącym, wskutek potanienia cen na zboże, potężnie zmniejszyła się siła nabywcza fermerów amerykańskich. Jeden z naszych poważniejszych ekonomistów, mówiąc o rozmiarach krachu, tak określił rozmiary jego w Stanach Zjednoczonych:

„O rozmiarach krachu świadczy najlepiej fakt, że wskaźnik kursów 90 najpoważniejszych akcyj przemysłowych obniżył się o 33 proc., a wskaźnik 13 największych banków o 30—56 proc. i to w ciągu zaledwie trzech tygodni.

Krach dotknął również wartości o stałem oprocentowaniu, choć tym papierom nie grozi utrata rentowności; spadały nawet papiery południowo-amerykańskie uprzywilejowane, zarówno z przyczyn gospodarczych, jak i politycznych. Dotąd nie widać tendencji poprawy, ani tendencji stabilizacyjnych, a nastrój niepewności przenosi się również na szereg ważnych rynków towarowych. W tych warunkach istnieje obawa, że kryzys giełdowy może być punktem wyjścia kryzysu gospodarczego i to nietylko amerykańskiego".

Wielu z naszych rodaków północno-amerykańskich dało się wciągnąć do spekulacyj giełdowych i potraciło wszystkie swoje oszczędności. Zdawało się, że szał jakiś opętał spokojnych napozór ludzi. Wszyscy wyciągali z banków swoje oszczędności, aby się bogacić na akcjach. Jeden z bankierów polskich w Stanach Zjednoczonych opowiadał, że kobieciny polskie, nawet takie, które nie umiały czytać i pisać, przychodziły do okienek bankowych, prosząc, aby im sprzedano akcje, na których można się wzbogacić. Gorączka spekulacyjna ogarnęła wszystkie warstwy ludności amerykańskiej.

W początkach r. b. wszyscy kupowali akcje, z wyjątkiem... ludzi mądrych w rodzaju sekretarza stanu Mellon'a, wzywającego społeczeństwo amerykańskie do kupowania „bondów" pożyczkowych zamiast niepewnych akcyj. Tej rozsądnej rady jednak słuchały tylko nieliczne grupy ludzi, o poglądach konserwatywnych. Spekulanci szaleli...

W ostatnich czasach zaczęto więcej akcyj sprzedawać niż kupować. Następnie dał się zauważyć brak gotówki. Oprocentowanie pożyczek podskoczyło gwałtownie do góry. Przemysł i handel zaczęły odczuwać kryzys. Popyt na towary opadł. Stali kupowano mało, automobili jeszcze mniej. Drożyzna pieniądza zahamowała ruch budowlany. Coraz więcej ludzi zoczęło tracić pracę. Ruch kolejowy był mniejszy niż w tym samym okresie czasu w roku ubiegłym. A maszyny wypluwały coraz więcej akcyj. Miljony, a nawet miljardy papierowych akcyj zasypały giełdy amerykańskie. Ale wszystko ma swój koniec. . Panika ogarnęła tłumy. Zaczęto pozbywać się na gwałt posiadanych akcyj. W październiku nastąpił krach, a z nim — ruina, rozpacz i nędza miljonów.

W Londynie amerykański krach giełdowy odbił się rozpaczliwem echem. Setki tysięcy Anglików posiada akcje amerykańskie. Na giełdzie londyńskiej wybuchła panika, jakiej nie widziano od roku 1907. I tam nie obyło się bez okropnych tragedyj.

Pomimo wielkiej katastrofy finansowej, jaką przeżywa gospodarstwo amerykańskie, rząd St. Zjednoczonych jest pełen najlepszych myśli. Prezydent Hoover oświadczył:

„Fundamentalny przemysł i handel kraju, to znaczy produkcja i wymiana towarów, spoczywają na zdrowej i pomyślnej podstawie. Najlepszym dowodem tego jest fakt, że chociaż wytwórczość i spożycie stoją na wysokim poziomie, przeciętne ceny towarów nie podniosły się naogół i niema żadnej poważniejszej zwyżki w zapasach towarów fabrycznych".

Prezydent zwrócił nadto uwagę na zwiększone płace w wielu gałęziach przemysłu jako na objaw pomyślnych warunków przemysłowo-handlowych.

„Chwilowa zniżka w cenach zboża — mówił p. Hoover — zdarza się zwykle równorzędnie ze spadkiem cen na giełdzie, jednak, jak departament rolnictwa wskazuje, zasadniczym faktem w zakresie cen zboża jest to, że tegoroczny światowy zbiór pszenicy jest znacznie mniejszy niż zeszłego roku, co spowoduje wyższe ceny ziarna".

Ostatnie wieści z Ameryki przeczą jednak optymistycznym zapowiedziom p. Hoovera. Stany Zjednoczone znajdują się w pełni kryzysu finansowego, którego nie zażegnają krzepiące mowy prezydenta. *B. L.*

KŁOPOTY ROLNIKÓW.

Ciężkie położenie rolnictwa jest dziś zjawiskiem powszechnem. W Niemczech nastroje producentów rolnych zmuszają rząd do wprowadzenia całego szeregu udogodnień celnych, podatkowych i t. p. W Austrji czynniki miarodajne poważnie zastanawiają się nad wprowadzeniem monopolu na handel zbożem. Kanada nie może uchronić swych rolników od skutków światowego kryzysu rolnego, pomimo intensywnych starań centralnej instytucji, kierującej handlem zbożowym. Kongres Stanów Zjednoczonych A. P. przeznacza na zorganizowanie przez farmerów racjonalnego aparatu sprzedaży ziarna miljardową sumę, a nowa amerykańska taryfa celna przewiduje, prócz wywołujących sprzeciw całego świata, ochronnych stawek celnych na wyroby przemysłowe, podwyższenie ceł na produkty rolnicze.

KOMUNISTYCZNY EKSPERYMENT.

W poprzednim numerze „Sternika" wspominaliśmy o możliwości wystąpienia, za lat kilka Rosji, jako konkurenta na światowym rynku zbożowym, co mogłoby jeszcze pogorszyć sytuację rolników. Otóż na terenie Rosji zachodzi dziś przemiana, polegająca na systemie kompletnego zrujnowania indywidualnej gospodarki chłopskiej i przez to zmuszenia wieśniaków do pracy w wielkich, państwowych lub komunistycznych, majątkach ziemskich. Innemi słowy, chodzi o uczynienie z chłopa, pozbawionego prawa do posiadania ziemi na własność, robotnika rolnego. Nie ulega wątpliwości, że próba ta może rujnująco wpłynąć na i bez tego już niski stan gospodarczy i kulturalny rosyjskiego włościanina; jednak w razie powodzenia tej akcji, wyrażającej się między innemi w zaciętej walce rządu moskiewskiego z bogatszymi chłopami (, kułakami"), produkcja zboża w Rosji osiągnęłaby rozmiary, dozwalające na rozpoczęcie eksportu w wielkim stylu. Tymczasem jednak trudności zaopatrywania ludności miejskiej w zboże są o wiele większe niż w latach poprzednich, co tłomaczyć można, prócz ustawicznie szwankującej komunikacji, niechęcią do współpracy z komunistycznym rządem ze strony, stanowiącego ciągle jeszcze większość, właściciela indywidualnego gospodarstwa chłopskiego oraz, coraz częściej występującym, zbrojnym oporem, organizujących się przeciwko komunizmowi, wieśniaków. Kto zwycięży — pokaże przyszłość.

WSPOMNIENIA Z WYCIECZKI

W jeden ze złocistych jesiennych dni, od kilku godzin zamknięta w czarnem pudle samochodu, mknęłam po wyciągniętej taśmie szosy. Białe kamienie padały jeden za drugim jakby szybko rzucane za siebie i zlewały się w dwa białe pasma. Klekot motoru tępym bólem odbijał się pod czaszką, a szybkość obrazów migających w ciemnej ramie okna — męczyła wzrok.

Nagle ustaje stuk motoru, maszyna zwalnia, stajemy. Zgubiliśmy coś, czegoś szukają wszyscy, czegoś trzeba szukać — wysiadam i ja, i staję jak urzeczona urokiem dnia jesiennego.



P. Halina Konopacka (z lewej) na przechadzce.

Powietrze jest jak miodem nalane — słodkie i złociste. Na pustych polach leży cisza. Daleko, na ciemnozielonym murze lasu, opiera się seledynowe niebo. Pociągnęła mnie ta przestrzeń daleka i otwarta... Poczułam nieprzepartą ochotę pozostawienia mego towarzystwa i pójścia przed siebie w którąkolwiek stronę, między przygniłe dywaniki łąk i poprzez pasma lasów, byle iść, byle własnemi stopami przemierzać tę przestrzeń, byle własną piersią pić pachnące powietrze i nie przez szybę oglądać świat. I choć musiałam wrócić do dusznego pudła samochodu, postanowiłam w najbliższym czasie zrobić dalszą pieszą wycieczkę.

W szaro-liljowym zmroku zamigotała grupa świateł. To małe miasteczko — cel pierwszego naszego etapu. Równy, rytmiczny krok zaczyna się skracać, nogi zaczynają ciążyć, a zmęczenie kładzie ołowiane ręce na ramiona. Na białych kamieniach przy szosie wypatruję poprzez zasłonę mroku cyfrę, która mówi, że mamy przed sobą ostatnie kilka kilometrów. Plecak gniecie, a na powieki opada mgła znużenia. Upaść w wymoszczony trawą rów przydrożny i spać, spać — ponad wszystkie inne uczucia, ponad pragnienie, głód i wstyd.

Ale światła powoli się zbliżają, wreszcie kontur dachu pierwszego domu rysuje się na tle ciemnego nieba, a pod nogami czuję wyboisty bruk małego miasteczka. Jakieś senne uliczki, dom, mroczny pokój, biała pościel... i zapadłam się w sen jak w cichą toń wody, a zbudzić mnie nie potrafiły nawet ataki pluskiew — jedynych stałych mieszkańców „hotelu".

Ranek. Zaspane słońce. Biała mgła po rowach jak strzępy nocy. Pachnąca wilgocią zroszona trawa. Rozczochrana dziewczyna z wiadrem zdąża po wodę. Białe gęsi, strzepujące resztki snu ze skrzydeł. Kudłaty Burek przed chałupą, czyszczący swój kożuch. Świeżość ranka jest aż dźwięczna. Chłód rumieni policzki i radością wlewa się do płuc. Droga jest sprężysta i sama niesie naprzód. Chciałoby się ściskać jadących na jarmark wieśniaków, a nawet pejsatego żyda. Radość nie mieści się w piersiach i wylewa się serdecznym śmiechem.

Jest wesoło, lekko i beztrosko; daleko, daleko za nami w mieście pozostały smutki i kłopoty.

Gdy słońce podsuszyło mech przyleśny, mała, podróżna maszynka zagorzała wiankiem liljowego ognia. Ważna chwila. Śniadanie. Kadryl, mistrzowskie arcydzieło wiejskiego rzeźnika, chleb, mleko z pobliskich chałup wraz z zapachem lasu połykamy chciwie. Południowe słońce zastaje nas znowu nad płonącą maszynką i smażącemi się befsztykami na obiad.

Zmierzchami, gdy na tle różowego nieba znaczyły się cienkiemi nitkami dymów wsie, a zapach wieczerzy dolatywał od chałup, głód popędzał zmęczone nogi, a myśl uciekała do miasta do zastawionego stołu i miękkiego łóżka.

Po tygodniowym wreszcie marszu zamajaczyły wieże kościołów miasta, które było ostatecznym celem naszej wycieczki. Smutno się zrobiło i szkoda, że to już koniec włóczęgi, koniec swobody i beztroski, że miękką ziemię pod stopami trzeba zamienić na twardy bruk miasta, a plecak na trudy dnia powszedniego.

H. K.

Do

Szanownej Redakcji „Sternika"

w/m.

Z powołaniem się na art. 14 ustawy prasowej, proszę o łaskawe umieszczenie na łamach poczytnego pisma następującego sprostowania do wzmianki w numerze 1-ym, a mianowicie:

Sprostowanie.

Nieprawdą jest, jakoby ping-pong był grą dziecinną, natomiast prawdą jest, że dzieckiem nie jestem, że dość dawno przestała mnie mamusia prowadzić za rączkę, bo już przeszło latek temu 30, że nie znam dziś ciekawszej, lepszej gry w domu, w słotne, ponure dnie jesienne i długie wieczory zimowe, jak właśnie ping-pong (tenis stołowy).

Uznał autor grę tę, prawdopodobnie, za tak prostą, nieskomplikowaną, że aż niegodną człowieka dorosłego. Chce jej (i mnie też) ubliżyć wyraźnie, poniżyć ją (i mnie też) w oczach Waszych. Robi to szczerze — wierzę i to go rozgrzesza i już się nie gniewam. Ale — albo jej nie zna, albo ją zna „po dziecinnemu", tylko z wierzchu.

Poza nazwą dziecinną, naśladującą głos odbijanej piłki, poza prostemi zasadami ping-pong kryje całą finezję gry, różnej u każdego gracza. Do finezji tej dochodzi się po długich miesiącach grania.

Nie chodzi bowiem o samo odbicie piłki, ale o siłę i sposób odbicia, o szybki przelot piłki tuż ponad siatką, o zwodzenie partnera przez odbicia „z fałszem", o ścinanie piłek, o umieszczanie piłek (plasowanie) raz w rogu, raz w środku, raz na krawędzi, raz daleko, raz blisko, zaraz za siatką, a następnie o umiejętność odbijania takich samych piłek partnera. Ileż szybkości, gibkości, błyskawicznej orjentacji i jeszcze szybszej decyzji, a jakiej inteligencji i nerwów wymaga pingpong od dobrych graczy?

Niech żyje ping-pong!

w/z.

KĄCIK FOTOGRAFICZNY

JAK OTRZYMAĆ OBŁOKI NA ZDJĘCIU FOTOGRAFICZNEM?

Każdy z nas w pogodny letni ranek niejednokrotnie obserwował grę obłoków, gdy na niebie raptem zjawia się mały obłoczek, rośnie, rozwija się płynąc po ciemnym błękicie i z chwili na chwilę olbrzymieje. Wystrzela niekiedy jak kłęb dymu białego het ku górze.

Mimowoli człowiek, przyglądając się temu cudowi natury, chciałby obraz ten uwiecznić w swojej pamięci. Jest coś tak wielkiego, tak wspaniałego w tem prawie codziennem zjawisku, że malarz chwyta za pędzel, farby i stalugi, poeta goniąc okiem za temi białemi duchami, zaczyna deklamować improwizacje.



Kolumna Zygmunta w Warszawie. Photoplat.

A cóż robi biedny amator fotograf jeśli ma duszę artystyczną i wrażliwą na piękno przyrody?

Wybiega ze swoim aparatem fotograficznym, trzaska kilka zdjęć jedno po drugiem, dopóki klisz w kasetkach starczy i wraca zadowolony do domu.

Ale o gorzka ironjo! Po wywołaniu negatywów — cudownych obłoków ani śladu, niebo na negatywie jednostajne, zakryte czarną masą, gdzieniegdzie tylko ledwo widoczne kontury chmur. Na pozytywie zaś dany krajobraz pozbawiony tej ozdoby, jaką były obłoki, wygląda jakoś zimno i nudno.

Rzecz polega na tem, że, jak wiemy z fizyki, promienie niebieskie i fioletowe, padając na zwykłą bromosrebrną płytę fotograficzną, działają inaczej niż czerwone i żółte. A mianowicie: niebieskie i fioletowe promienie, tak zwane chemiczne, działają na płytę bromosrebrną równie silnie, jak promienie białe, natomiast czerwone i żółte na płytę nie działają prawie zupełnie. Wobec tego na przytoczonym wyżej przykładzie jasne, białe obłoki na tle ciemnego błękitu zlewają się z tłem, ponieważ promienie padające od błękitu, działają na płytę równie silnie, jak białe.

Aby tego uniknąć, obecnie wszystkie fabryki płyt fotograficznych wytwarzają klisze tak zwane ortochromatyczne, które są naczulone na promienie żółte i zielone. Naczulenie to powoduje prawidłowe stopniowanie i stosunek na fotografji barwy zielonej i żółtej, jako ciemniejszych i jaśniejszych szarych plam, zgodnie z tem, ak te barwy wydają się nam w naturze: zielona-ciemn., żółta-jaśniejsza

Lecz same płyty ortochromatyczne nie dawałyby jeszcze dostatecznego wyniku, gdyż błękitne promienie w dalszym ciągu działałyby równie silnie, jak białe. Dla przeciwdziałania temu stosuje się właśnie filtr, owe żółte szkło nakładane na soczewkę naszego aparatu. Wówczas promienie niebieskie, przechodząc przez żółty filtr, zamieniają się na zielone, zaś białe promienie zamieniają się na żółte i wobec tego, przy równoczesnem użyciu ortochromatycznych płyt i żółtego filtru, otrzymamy na naszym negatywie czarne obłoki na jasnem tle, a na odbitce pozytywowej, najwspanialsze śnieżno-białe obłoki na jaśniejszem lub ciemn. szarem tle, zależnie od gęstości filtru.



Ruiny Zamku w Czersku. Photoplat.

Filtry takie nabywać można w sklepach przyborów fotograficznych, gdzie można wybrać odpowiedniej wielkości filtr, odpowiadający rozmiarom danej soczewki naszego aparatu.

Filtry bywają: I-go stopnia — jasne, II-go stopnia — średnie, III-go stopnia — ciemne.

Nadmienić należy, że filtr żółty wymaga trochę dłuższego naświetlania. Filtr I-go stopnia wymaga dwukrotnie dłuższego naświetlania, a mianowicie, gdybyśmy bez filtru robili zjęcie na 1/100 sek. — to przy użyciu filtru I-go stopnia należy dać naświetlenie = 1/50 sek. Przy użyciu II-go stopnia naświetlać należy cztery razy dłużej, a więc nie 1/100 sek. lecz 1/25 sek. Filtr III-go stopnia przedłuża czas naświetlenia sześciokrotnie.

Płyt ortochromatycznych najrozmaitszych fabryk w handlu znajduje się obecnie bardzo duża ilość.

W imię hasła samowystarczalności gospodarczej należy popierać nasz młody krajowy przemysł przyborów fotograficznych.

W Polsce mamy dwie fabryki płyt, papierów i chemikalij fotograficznych: w Bydgoszczy fabrykę „Alfa" i w Poznaniu „Stafra".

Płyty Orto-Antihalo, wyrabiane przez te fabryki, odpowiadają w zupełności potrzebom amatora fotografa.

Z płyt zagranicznych zasługują na specjalne polecenie płyty fabryki belgijskiej Gevaert'a: „Sensima" ortho antihalo; „Super sensima" ortho antihalo; „S.S.S." (super sensima special) ortho — antihalo.

Stefan Plater Zyberk.

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

Cieszymy się, że nasze wezwanie z pierwszego numeru znalazło tak szybki oddźwięk, iż dziś możemy umieścić feljeton pióra ucznia jednego z gimnazjów warszawskich. Prosił on Redakcję o zachowanie w tajemnicy jego nazwiska, czynimy więc zadość temu życzeniu.

Przypominamy wszystkim, którzy pragną nadsyłać swe prace, że bez względu na to, czy nazwisko ma być podpisane pod artykułem, czy też ma pozostać tajemnicą redakcyjną, nazwisko autora musi być znane Redakcji. Prace anonimowe trafią do kosza redakcyjnego bez czytania.

ŁOBUZY W OBOZIE

Złą sobie, coprawda, obrałem porę do dawania wskazówek, jak się należy zachowywać w obozie letnim, ponieważ jednak jestem pewien, iż niejeden z moich Szanownych Czytelników będzie kiedyś obozowcem, ponieważ z drugiej strony „lepiej późno, niż wcale", postanowiłem podzielić się z Wami moją szeroką praktyką obozowo-łobuzerską.

Jeżeli się już człowiek dostał do obozu, niech mu się nie zdaje, że na tem koniec. Treścią tego rodzaju życia są t. zw. kawały, albo, jak mówią starsi „psie figle", których się trzeba nauczyć. Dla ułatwienia nauki podaję je w porządku alfabetycznym:

Bandyci.

Jest to miła zabawa, polegająca na starannie obmyślonej akcji napastniczej. Należy w nocy otoczyć obóz ze wszystkich stron, strzelać ze straszaków, puszczać rakiety i „żabki", krzyczeć: „Pieniądze, albo życie!" i t. d.

Chodzi o to, kto dłużej wytrzyma, komu się wcześniej znudzi — napastowanym, czy napastnikom. W pierwszym wypadku można się narazić na pobicie, w drugim poleca się zmienić teren i straszyć ludność cywilną. Broń Boże policjantów! Znałem jednego kawalarza, co chciał policjanta nastraszyć. Dotąd siedzi.

Buty.

Niezwykle dowcipne w pomyśle. Ciemną nocą wykrada się wszystkie buty w obozie, miesza się je starannie i ustawia w długim szeregu, uważając, by nie trafiła się para — do pary.

Można sobie wyobrazić zdumienie i przerażenie obozowców, kiedy... i t. d.

Duchy.

Zapomocą prześcieradeł, lampek elektrycznych, brzęku łańcuchów i głuchych jęków łatwo jest wzbudzić nastrój pozagrobowy.

Znałem pewnego lekarza obozowego, sympatycznego szatyna, którego ambulans co noc nawiedzały duchy — do tego stopnia zmaterjalizowane, że potrafiły ciskać kamieniami w werandę.

Młody eskulap, który był wielkim heretykiem, po paru takich wizytach uwierzył w życie pozagrobowe.

Guziki.

Jedna z najmilszych igraszek. Jeżeli zauważycie, że ktoś nie dba o siebie i niezawsze pamięta o zapinaniu guzików, wykradnijcie mu ubrania i poobcinajcie wszystkie guziki. (Lepiej ich jednak nie rozrzucać po całym obozie, tylko schować do jednej z kieszeni ubrania).

Na drugi dzień po takiej operacji, pacjent wygląda bardzo śmiesznie.

A przecież śmiech — to zdrowie.

Przeprowadzka.

Jest to figiel wymyślony specjalnie dla śpiochów. Ciemną, bezksiężycową nocą otacza się legowisko takiego pana i wynosi się go razem z siennikiem i pościelą na świeże powietrze. Rano przychodzi się do śpiocha z wizytą i obserwuje jego zdziwienie, kiedy, po przebudzeniu, zauważy zmianę lokalnego kolorytu. Ostatecznie, jeśli bardzo wymyśla, można w niego wmówić, że jest lunatykiem i że przez sen przenosi się z miejsca na miejsce.

Specjalną odmianą „przeprowadzki" jest „Prysznic", stosowany wobec obozowców uparcie spóźniających się na zbiórkę.

Przenieś, bracie, owego śpiocha z całym noclegiem zamiast na łąkę — pod prysznic (który w nowoczesnie urządzonych obozach powinien się znaleść). Zrana, bezpośrednio po apelu stań przy delikwencie i cichutko pociągnij za sznurek.

Wątpię, czy Dąbrowskiego usłyszysz Mazurek.

Sztuka stosowana.

Przy pomocy małej dozy szuwaksu, lub farby można w jedną noc zmienić wiek, lub nawet rasę śpiącego gościa. Kiedyś, chcąc jednemu z młodszych kolegów obozowych zrobić przyjemność, wymalowałem mu piękny, czarny wąsik. Nazajutrz, po przebudzeniu, nie mógł wyjść z podziwu:

— Patrzcie, jak mi ten obóz dobrze robi! Dwa lata się golę i żeby się choć włosek pod nosem pokazał, a tu, przez jedną noc — takie wąsy!

Ponieważ jednak wąsik nie dał się zmyć, następnej nocy przemalowałem jego właściciela na murzyna. Martwił się bardzo z początku i mówił z goryczą:

— Piętnaście lat myślałem, że jestem białym człowiekiem, a tu okazuje się — murzyn. Jak to nawet samemu sobie nie można ufać!

Ale teraz pogodził się z losem. Jest zawodowym murzynem i, jako taki, wcale nieźle zarabia. Zamiast „dzieńdobry" mówi „Bwana kubwa".

Marzy o powrocie do Senegalu.

* * *

Oto najważniejsze kawały obozowe, wyłożone w porządku alfabetycznym. Wszystkie się zwykle udają i nie wątpię, że będziecie umieli kiedyś je zastosować.

Tylko — jedna gorąca prośba. Ofiarom, którym obetniecie guziki, których pomalujecie na zielono, których wyniesiecie pod ranny prysznic, tym ofiarom — powtarzam — nie mówcie, że to ja Was tego wszystkiego nauczyłem.

Obawiam się, że, gdybyście mnie zdradzili, przez dłuższy czas nie mógłbym w miejscu usiedzieć. I to nie z powodu wrodzonej żywości charakteru.

Tylko, jak to lubicie pisać w świadectwach domowych, kiedy nie odrobiliście lekcyj — „z powodów odemnie niezależnych".

x. y.

Delegat ministerstwa oświaty odwiedza szkołę dla jąkałów. Dyrektor przedstawia mu jednego z uczniów.

— Panie delegacie, chciałbym zwrócić pańską uwagę na tego właśnie ucznia. Jeszcze przed trzema tygodniami nie mógł on wymówić swobodnie ani jednego słowa. Każde zdanie nastręczało mu niesłychane trudności. A teraz niech pan delegat zechce przekonać się o niezwykłych postępach w tym kierunku.

Delegat zaczyna egzaminować ucznia.

— Jak się pan nazywa?

— F... Franciszek Pac.

— Bardzo dobrze. Kiedy się pan urodził?

— Cz... czwartego lipca roku 1910.

— Świetnie! Gdzie?

— W Kazimierzu...

— Znakomicie! Rzeczywiście, zadziwiające postępy! Winszuję panu, panie dyrektorze! Pańska metoda nauczania jest niewątpliwie cudowna! Nie omieszkam zawiadomić o tem pana ministra. Zadziwiające rezultaty! Niech pa...

W tej samej chwili uczeń wybucha słowami:

— ... nad Wisłą!

O WSZYSTKIEM POTROSZE.

Z ZASTOSOWAŃ TELEWIZJI.

Telewizja (przesyłanie obrazów na odległość zapomocą elektryczności) zaczyna przechodzić już z dziedziny doświadczeń w sferę praktycznego zastosowania. Ostatnio powiodły się zupełnie dobrze próby przesyłania lotnikom fotografji mapy meteorologicznej. Pilot po otrzymaniu obrazu mapy szybko zorjentować się zeń może o stanie atmosfery, o niebezpiecznych lub sprzyjających wiatrach. Jeden rzut oka na tego rodzaju mapę mówi doświadczonemu lotnikowi więcej niż długie komunikaty, otrzymane zwykłą drogą radjową.

KOMUNIKACJA MIĘDZYPLANETARNA.

Trzej wynalazcy: Opel, profesor Oberth i Max Vallier pracują obecnie w Niemczech nad rozwiązaniem problemu samolotu rakietowego. Opel był pierwszym człowiekiem, któremu udało się dokonać lotu na samolocie rakietowym, drugi z nich narazie konstruuje latawce rakietowe, poruszające się bez pilota, trzeci zaś osiągnął dobre wyniki przy próbach z samochodem pędzonym siłą wybuchów ładunków, umieszczonych w tylnej części wozu. Jak zwykle, fantazja publiczności wyprzedza znacznie zdobycze techniki, stąd nierzadko słyszy się zdania o możliwości rychłego zapoczątkowania komunikacji międzyplanetarnej; zapomina się jednak często o tem, że ładunki w pojazdach rakietowych są znacznie cięższe od motoru spalinowego, wraz z zapasem paliwa. Poza tem w górnych warstwach atmosfery mogłyby mieć zastosowanie jedynie bardzo mocno i szczelnie zbudowane, a więc ciężkie, samoloty. Kwestja nadmiernego ciężaru nie jest zatem łatwą do rozwiązania. Za najpoważniejszy system uznać należy badania nad rakietowcami, prowadzone przez Oberth'a, który nie liczy się z możnością rozpoczęcia lotów próbnych z ludźmi wcześniej niż za lat 15, wykazując tem samem, prócz niezaprzeczalnej wynalazczej fantazji, znaczną dozę samokrytycyzmu. Żegluga międzyplanetarna przez długie lata będzie prawdopodobnie nieziszczalnem marzeniem. Jednak marzenia takie w połączeniu z poważną pracą naukową przynieść mogą technice, a więc i postępowi kultury materjalnej ludzkości, znaczną korzyść.

NA MIARĘ AMERYKAŃSKĄ.

Największa turbina na świecie wykonana została dla elektrowni Hell Gate w Nowym Jorku przez szwajcarską firmę Brown-Boveri. Turbina ta posiada maksymalną wydajność 160 000 kilowatów, przy ciśnieniu 18,6 atmosfer i temperaturze 332° Celsjusza. Do przewiezienia części tej ogromnej maszyny użyto 82 wagony kolejowe.

PARA „NA ZAPAS".

Wynaleziony przez szwedzkiego inżyniera Jana Ruth'a aparat, służący do przechowywania pary wodnej, znajdzie niewątpliwie szerokie zastosowanie w wielu gałęziach przemysłu. Fabryki tego rodzaju jak elektrownie, huty żelazne, zakłady przemysłu chemicznego, włókienniczego i inne, tracą dość dużo na tem, że zapotrzebowanie pary zmienia się w znacznych nieraz granicach, zależnie od włączenia lub wyłączenia, tej czy innej, maszyny. Owe wahania w zapotrzebowaniu pary mogą być regulowane jedynie, ze stratą czasu i energji, przez zmniejszanie lub zwiększanie ognia pod kotłami. O wiele wygodniej byłoby otrzymywać cały czas tę samą ilość pary, zaś w momentach mniejszego zapotrzebowania przechowywać ją do chwili, w której wymagana będzie większa jej ilość. Aparat Ruth'a zagadnienie to rozwiązuje w ciekawy, z punktu widzenia fizyki, sposób. Cylinder o mocnych ścianach, długości ponad 20 m i średnicy 4,5 m, otoczony powłoką izolacyjną odpowiedniej grubości, chroniącą go od utraty energji cieplnej, jest napełniony do 9/10 swej objętości wodą. Para wpuszczona do cylindra, kondensując się oddaje wodzie tę ilość energji cieplnej, jaka była potrzebna do otrzymania z wody o temperaturze 100 stopni — pary. Ciepłota wody w cylindrze podnosi się wskutek tego ponad 100 stopni, woda pozostaje jednak w stanie ciekłym, gdyż wytworzenie się pary uniemożliwia wysokie ciśnienie. Jeśli wypuszczając parę z cylindra zmniejszymy ciśnienie, przegrzana woda pocznie wrzeć i odda zawartą w niej parę niemal bez straty energji. Cały ten proces odbywa się automatycznie, zapomocą samoczynnych wentyli doprowadzających i wypuszczający parę. Obliczenia wykazały, że w sieci przewodów parowych, w której przedtem ciśnienie wahało się od 10,5 do 6,8 atmosfer, po zainstalowaniu aparatu Ruth'a, wynosiło ono stale 9,85 atmosfer. Oszczędność paliwa przy stosowaniu wynalazku Ruth'a wynosi około 15%.

NOWOCZEŚNI ALCHEMICY.

Z Wellington'u — stolicy Nowej Zelandji, nadeszła wiadomość o tem, że dwu tamtejszym uczonym udało się, po 15 latach uciążliwych i niebezpiecznych badań laboratoryjnych, uzyskać drogą procesów elektromagnetycznych z kilku pierwiastków — złoto. Jednocześnie, oskarżony o oszustwo i osadzony w więzieniu Niemiec, nazwiskiem Tausend wykonał w monachijskiej mennicy doświadczenie, którem starał się udowodnić, iż rzeczywiście potrafi uzyskać złoto z ołowiu. Eksperyment odbył się w obecności urzędników mennicy, prawników i agentów policyjnych. Przed jego rozpoczęciem badano nawet szczęki obecnych, szczególnie zaś tych, którzy mieli złote zęby; wszyscy obowiązani byli ubrać się w cpecjalne fartuchy laboratoryjne. Tausendowi udało się w rezultacie otrzymać pewien ułamek grama cennego kruszcu; gdyby jednak ołów, z którego Tausend otrzymał złoto poddać przedtem analizie fachowych chemików, niewątpliwie ilość tego metalu otrzymana przezeń zostałaby odkryta w ołowiu już przed doświadczeniem. Wiadomo przecież, że złoto jako „zanieczyszczenie" występuje w bardzo małych ilościach w wielu innych metalach.

Sędzia: — Pański zawód?

Oskarżony: — Grabarz, do usług, pana sędziego!

— Bajdulski, ile jest sakramentów?

— Już wogóle niema proszę księdza prefekta. Memu wujowi w zeszłym tygodniu ksiądz ostatnich udzielił.

Młoda para amerykańska odbywa podróż poślubną po Włoszech. Siedzą właśnie w gondoli i zachwycają się cudownym widokiem.

— Kochanie, jakie to miasto? Wenecja, czy Florencja?

— A który dzisiaj?

— Czwarty lipca, mój jedyny.

— 22... 26... 27..: 30 czerwca::: 1 lipca::: 2::: 3::: aha, 4::, jesteśmy w Wenecji.

NASZA ROZMOWA

Dziś już rozmowa zaczyna być rozmową, bo choć nie wpłynęły dotąd żadne listy, to przecież drogą pośrednią przez znajomych i przyjaciół „Sternika" wpłynęły do nas już różne głosy.

Głosy te mówią o tem, czego w piśmie jeszcze brak, co należy wprowadzić. I tak np. jedna z uczenic prosi, aby wprowadzono dział „Co czytać". „Wszyscy ciągle — skarży się nasza znajoma — mówią nam, czego nie powinniśmy czytać, ale nikt nie powie tego, co czytać mamy". Tak to naprawdę ciężkie położenie, z którego postaramy się wam ułatwić i w najbliższym już numerze rozpoczniemy dział bibljograficzny.

Inne głosy domagają się beletrystyki. Słusznie. W dzisiejszym numerze rozpoczynamy druk noweli O'Henry'ego, po niej przyjdą dalsze oryginalne lub tłomaczone.

Kolumnę „młodych piór" rozpoczęliśmy już w tym numerze — czekamy na dalsze wasze prace artykuły, nowelki, wiersze i inne.

KĄCIK FOTOGRAFICZNY

W numerze dzisiejszym rozpoczynamy kącik fotograficzny dla amatorów tej sztuki. Prowadzenia kącika fotograficznego podjął się p. Stefan Plater-Zyberk, który będzie udzielał odpowiedzi na przesyłane do Redakcji pytania z dziedziny fotografji.

Dział rozrywek umysłowych.

Do wszystkich czytelników zwracamy się z prośbą o nadsyłanie zadań. Zadania powinny być przepisane czysto po jednej stronie kartki.

Po kilku numerach czytelnicy drogą plebiscytu zdecydują, które zadanie było najlepsze. Autor wybranego zadania otrzyma nagrodę w postaci książki.

TRZY ZADANIA.

Rozwiązania poniższych trzech zadań należy nadesłać do dnia 15 grudnia. Za najlepsze rozwiązanie nagroda — prenumerata kwartalnika „Sternika". Przy rozwiązaniach należy podać nazwisko, imię, adres, szkołę i klasę.

1. Rozsypanka.

Z poniższych liter ułożyć sentecję o oszczędności.

a ą b b c ć d d d e ę j n o o o o o p r s s s ś t t t u w y z z

2. Logogryf sportowy.

. . X . . . . . .

. . . X . . . . .

. . . X . . . . . .

. . . X .

. . . . X . . . . .

. X .

. . . X . . . . . .

. . X . . . .

. . . . . X .

. . . . X . . .

. . . . X . . . .

Należy kropki zastąpić literami tak. aby litery na miejscu krzyżyków, czytane od góry do dołu, dały aktualny w tej chwili w sportowym świecie rzeczownik.

Znaczenie wyrazów: 1, 5 i 8 nazwiska znane w narciarstwie, 3. mistrz olimpijski, 6. nazwisko znanego boksera, 7. nazwisko jednego z najlepszych jeźdźców, 9. nazwisko jednego z mistrzów kolarskich, 10. nazwisko jednego z mistrzów pływackich, 11. nazwisko jednego z mistrzów wioślarskich. (Uwaga: nazwiska tylko Polaków).

3. Metamorfoza.

n	i	w	a

Jak, zmieniając coraz to jedną literę w słowie „niwa", otrzymywać coraz to inny rzeczownik, z których ostatni oznacza kolor w kartach.

PYTANIE.

Jakie trzy daty w rozwoju państwa polskiego uważasz za najważniejsze i dlaczego?

Za najlepiej umotywowaną odpowiedź (nie więcej jak 100 słów) nagroda — kwartalna prenumerata „Sternika".

KONKURS WSZECHSTRONNOŚCI.

Wnumerze dzisiejszym rozpoczynamy konkurs „Wszechstronności". Złoży się na niego sześć cyklów z następujących dziedzin: matematyki, geografji, fizyki wraz z chemją, historji, nauk przyrodniczych, oraz literatury. Odgadujący największą ilość zadań we wszystkich cyklach razem — otrzyma jako nagrodę książkę.

Ponadto za każdy cykl zadań przeznaczone są w nagrodę prenumeraty kwartalne „Sternika".

Termin odpowiedzi zadań z dzisiejszego numeru do 15 grudnia. Przy odpowiedziach należy podać nazwisko, imię, adres, szkołę i klasę.

I. Cykl matematyczny.

1. Jaki znak należy wstawić między cyfrę 2 a cyfrę 3, aby otrzymać rezultat większy od dwóch a mniejszy od trzech. Ile może być odpowiedzi i jakich?

2. Dwa punkty w przestrzeni wyznaczają dwa sąsiednie wierzchołki kwadratu. W jaki sposób jedynie za pomocą cyrkla (nie można przeprowadzać żadnej linji), wyznaczyć dwa pozostałe wierzchołki kwadratu.

3. W jaki sposób (pozornie prawdziwy) dowieść, że 4 = 5 i na czem będzie polegał błąd w tem dowodzeniu?

KONKURS DLA LUBIĄCYCH CZYTAĆ.

Do dnia **20-go grudnia** należy nadesłać odpowiedź na następujące pytania:

1. Które ze znanych ci książek poleciłbyś do czytania swoim kolegom i koleżankom? Wymień 5—15 tytułów, nie zapominając podać autora.

2. Jakie pięć książek zakupiłbyś do swoje bibljoteki, gdybyś otrzymał na ten cel pieniądze.

Z pośród wszystkich nadesłanych odpowiedzi wylosowane będą trzy do nagrody. Nagrodę stanowić będzie jedna z książek, wymienionych w odpowiedzi.

Klasa szkolna, z której przyjdzie najwięcej odpowiedzi, otrzyma w nagrodę reprodukcję jednego z arcydzieł sztuki.

Przy odpowiedziach należy podać nazwisko, imię, adres, szkołę i klasę.

KONKURS Z PIERWSZEGO NUMERU „STERNIKA".

Jeszcze do **piątego** grudnia jest czas na nadesłanie odpowiedzi na trzy pytania, zamieszczone w poprzednim numerze:

1. Jaki zawód zamierzasz obrać?

2. Gdybyś pisał książkę, jaki zawód dałbyś głównemu bohaterowi, a jaki głównej bohaterce?

3. W jakim zawodzie kształcenie się uważasz za najpotrzebniejsze obecnie dla państwa?

„STERNIK" WYCHODZI PIERWSZEGO I PIĘTNASTEGO KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. **Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.**

DRUKARNIA TECHNICZNA, SPÓŁKA AKCYJNA, WARSZAWA, UL. CZACKIEGO Nr 3-5, TELEFON 14-67.